



Grzeń **GRYF** 3

WOJEWÓDZKI INFORMATOR KULTURALNY



Marzec — 1983

A mie nië wszetko jedne

Co dzys sę dzieje —
tego swiat nie widzu.
Płóm wojne wisy —
nad każdym z nas.
A mie nië wszetko jedne,
że swiat rozpôłą,
że móm zec w strachu,
o tim meslec cug.

Swiat dzys sę pôli —
jiwer niese ze sobą.
Dze wezdrzisz okę,
tam przemikô sę gweit.
A mie nië wszetko jedne,
że swiat rozpôłą,
że móm zec w strachu,
o tim meslec w cug.

Dzys meslisz w strachu,
kiëde to sę stónie,
że swiat zawalą,
abo strejeme sę.
A mnie nië wszetko jedne,
że swiat rozpôłą,
że móm zec w strachu,
o tim meslec w cug.

Na pierwszym môlu,
wielgië fabryki,
na pierwszym môlu,
materiô ji zysk.
A mie nië wszetko jedne,
że swiat bdze strety,
że bdą fabryki,
a nas ju nië.

GRYF



WOJEWÓDZKI INFORMATOR KULTURALNY
SŁUPSK MARZEC 1983 ROK II Nr 3 (5)

- | | |
|---|--------------------------------------|
| Wielkie porządki | — Antoni Kustusz |
| Udział Pomorza Zach. w zbliżeniu... (2) | — Barbara Popielas-Szultka |
| Być aktywnym | — Maria Hasiec,
Jolanta Nitkowska |
| Człowiek, który przeżył własną śmierć | — Jerzy Lissowski |
| Plateranki | — Leszek Bakula |
| Kronika | |
| Repertuar | |
| Nielatwe to były początki | — Leszek Masiukiewicz |
| Udział ZMW w życiu kulturalnym | — Zenon Sobecki |
| Instruktor muzyczny | — Danuta Lipska |
| Lęborskie początki | — Jerzy Mazurkiewicz |
| Głosy i powidoki | — Andrzej Turczyński |
| Mistrz Tymon i inni | — Jerzy R. Lissowski |
| Twórcy kultury o swoich problemach | — Jerzy Dąbrowa |
| Losy dwóch kobiet nauczycielek | — Leszek Bakula |

Projekt okładki, (grafika str. 16) — Zbigniew Ignacy Januszewski

Wydaje: Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne „Pobrzeże” Współwydawcy — Kuratorium Oświaty i Wychowania, Wojewódzki Dom Kultury. Adres redakcji: 76-200 Słupsk, ul. Zamenhofska 1, tel. 38-05, 83-13. Kolegium Redakcyjne: Kazimierz Kurowski — st. wizytator KOiW, Jerzy Lissowski wiceprezes Zarządu Głównego SSK „Pobrzeże” — przewodniczący, Leszek Masiukiewicz — członek ZG SSK „Pobrzeże”, Zenon Sobecki — czł. Prez. ZG SSK „Pobrzeże”, Kazimierz Swiderski — dyr. Wydz. Kultury i Sztuki UW, Antoni Franczak — z-ca dyr. WDK.

Zespół redakcyjny — Leszek Bakula, Jerzy Dąbrowa-Januszewski — redaktor odpowiedzialny tel. 75-91, Zbigniew I. Januszewski — współpraca graficzna, Zofia Kubiak-Krzesińska — opr. techn. Helena Zielińska — korekta. Małgorzata Porada — sekretariat redakcji tel. 83-13, Andrzej Turczyński.

Warunki prenumeraty: kwartalna — 45 zł, półroczna — 90 zł, roczna — 180 zł. Wpłaty od jednostek gospodarki uspołecznionej, instytucji, organizacji przyjmują miejscowe oddziały RSW i ekspedycje RSW „Prasa-Książka-Ruch”, w miejscowościach, w których nie działają placówki RSW — urzędy pocztowe. Nabywcy indywidualni opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych. Nr indeksu D-8. Druk: Poligraficzna Spółdzielnia Pracy w Słupsku. Nakład 1000 egz., format B-5, Zam. nr 558.

Cena 15 zł

Wielkie porządki

(czyli — jak Cię widzą tak Cię piszą)

Minęły bezpowrotnie czasy gdy wielkie hasła, głoszące sukces nawet na przekór społecznej rzeczywistości, służyły także do zasłaniania szarego i zaniedbanego otoczenia. Ale — jak to często bywa z tzw. „wylewaniem dziecka z kąpielą”, w ferworze walki z „propagandą sukcesu” likwidacji uległy, jak gdyby mimochodem, wszelkie pożyteczne elementy propagandy wizualnej, natomiast pozostały i straszą — śmieci, zwłaszcza nieużytych przedmiotów, cały nasz codzienny „bałaganik”. Trzeba było dopiero ostrości spojrzenia inspektorów wojskowych aby ponownie na porządku dnia stanęły sprawy ładu, porządku, czystości oraz propagandy wizualnej. Jeśli bowiem powszechnie mówi się o potrzebie odrodzenia narodowego, odnowy moralno-politycznej, to w tej walce nie może zabraknąć tak ważnego elementu, jak wychowawcza funkcja warunków życia i pracy człowieka, treści niesionych przez otaczające człowieka środowisko, emocji wynikających z estetycznego otoczenia.

Wychowanie i tworzenie wartości estetycznych jest jedną z głównych dziedzin programu odrodzenia. Ślepi na brzydotę otoczenia, na nieład, brud, bałagan nigdy nie przełamiemy marazmu i inercji społecznej, zaś bez emocjonalnie nacechowanych form przestrzennej propagandy i agitacji wizualnej, nadal będziemy się odradzać na jałowym biegu, w potoku „pustosłowia” i deklaracji bez pokrycia. Taki wniosek zasadniczy można wysunąć z treści uchwały Wojewódzkiej Rady Narodowej z dnia 28.12.1982 roku oraz wcześniejszych ustaleń Egzekutywy KW PZPR z dnia 12.01.1982 r. W związku z tym — kilka refleksji.

Regres gospodarczy, pogorszenie się sytuacji życiowej dużej części społeczeństwa — odwróciły jego uwagę od estetycznego stanu otoczenia zarówno w miejscu zamieszkania, jak i pracy. Agresywna propaganda przeciwników partii i ludowej Polski — uprawiana pod hasłami odwrotu od błędów przeszłości — skutecznie „oduczyła” nas podejmowania czynów społecznych, współzawodnictwa pracy, wreszcie — wyczulenia na potrzebę powszechnego porządku.

Zdyskredytowane zostały zatem także pozytywne efekty estetyzacyjne ostatnich lat. Nasze miasta i wsie „poszarzały” stały się brudne i odrapane, drzewa i krawężniki niepobielane, poprzewracane płoty, tablice pro-

pagandowe po zabrudzeniu lub wywróceniu po prostu zlikwidowano nie zastanawiając się nad potrzebą ich renowacji i aktualizowaniu głoszonych treści. W rezultacie pozostało sporo stalowych konstrukcji po hasłach oraz wspomnienie o województwie śluskim — czystym, zielonym i gospodarnym.

O bieżących sprawach i problemach pamięta się „pod ich presją”, zaś o wychowaniu poprzez estetykę, zamiłowanie do czystości i ładu „zapominamy”, bowiem wymaga to wielu lat pracy, i własnego przykładu. Dziś coraz powszechniej chyba widać, że wszyscy; i partia i administracja państwowa i dyrekcje zakładów pracy — powinny stanąć do walki o przywrócenie właściwego estetycznego oblicza naszemu województwu. Potrzebna jest „Ślupska Wiosna — 83” — powszechna kampania ludzi zainteresowanych o obecny i przyszły wygląd naszego województwa. Myślę, że działacze PRON, FJN, środowiska działaczy kulturalno-oświatowych, ogniwa partii, stronnictw politycznych, organizacje społeczne i młodzieżowe rozumieją taką potrzebę i zjednoczą się w tej pracy bez wielkich słów i hasel.

Wraz z powszechnymi porządkami powinien postępować proces weryfikowania i aktualizowania propagandy wizualnej. Dotych-

czas była ona przedmiotem totalnej krytyki, tak w treści, jak i w formie. Krytyka ta spowodowała, że taka propaganda przestała funkcjonować. Pozytywne przykłady Czułchowa, Bytowa, Kończygłowów pozostały chlubnymi wyjątkami.

Wiele przedsiębiorstw zaniechało także wizualnej działalności reklamowej, powołując się na rygory reformy gospodarczej, opór załóg itp., zapominając przy tym, że warunki pracy tworzą przesłanki wzrostu wydajności pracy a tym samym przyrost środków do podziału. Przykładem pozytywnym takiego pojmowania propagandy mogą służyć: ZNMR i „Kapena” w Słupsku, „Meprozet” i „Spomel” w Lęborku, „Bytowianka” w Bytowie, „Kablosprzet” w Czułchowie.

Dzisiaj potrzebne jest nowe spojrzenie na funkcje propagandy wizualnej. Nie można bowiem negować całego dotychczasowego dorobku w tej dziedzinie. Gruntowa nawet zmiana formuły działalności propagandowej nie może być traktowana jako negacja, jako odrzucenie i totalna krytyka tego, co dotychczas zrobiono. Nie ma takiej działalności, która składałaby się z samych błędów. Gorzej służy sprawie zniszczone lub nieestetyczne, zapomniane wielkie hasło niż skromne ale za to czyste i na miarę aktualnych możliwości wykonane miejsce dla ekspozycji wizualnej.

Trzeba także zweryfikować treść proponowanych haseł. Działą bowiem pewien stereotyp, wyrażający się w tym, że nie chcemy sobie uświadomić, iż absolutnie słuszne hasła, do których przyzwyczajeni byliśmy przez wiele lat, są ze względu na nową sytuację, mało akceptowane społecznie. Zgodzić się trzeba, iż nie ma obecnie klimatu do ekspowowania hasła w rodzaju „Aby Polska rosła w siłę, a ludzie żyli dostatniej”, mimo iż jego treść jest słuszna. Walcząc o wiarygodność propagandy, którą rozumiem jako instrument funkcjonowania podstawowych struktur społecznych i polityki partii w konkretnych warunkach społeczno-politycznych — nie możemy podważać jednocześnie jej treści poprzez wygląd otoczenia czy nieadekwatność sformułowań.

W dążeniu do ukształtowania nowego oblicza i wyglądu województwa powinniśmy unikać gigantomanii propagandowej, tak charakterystycznej dla poprzedniego okresu.

Akcenty propagandowe winny przemawiać do człowieka, uwzględniać jego podmiotowość, prawo do krytyki. Czas więc na preferowanie małych form przekazu z uwagi na ich operatywność, taniość. Wszystko to wymagać będzie swoistej decentralizacji działalności estetyzującej i propagandowej.

Krytyczne spojrzenie na otaczającą nas rzeczywistość, piętnowanie negatywnych postaw jest obecnie jednym z podstawowych warunków odnowy. Musi to być walka o zasady i treści programu partii i stronnictw. Istotną formą krytyki w propagandzie wizualnej jest na przykład satyra. Praktycznie była ona do niedawna nieobecna w propagandzie wizualnej, śmielsze propozycje satyryczne były źle widziane, a więc siłą rzeczy nie mogły być stosowane. W aktualnej sytuacji istnieje wręcz konieczność szerszego sięgania do satyry jako sposobu piętnowania zła w społeczeństwie, nawet walki politycznej. Zdarzeń, postaw, rzeczy, które należałoby satyrycznie potraktować jest w otaczającej nas rzeczywistości aż nadto.

Jak z tego wynika istnieje potrzeba zaktywizowania wszelkiego rodzaju grup aktywu agitacyjnego i propagandowego w środowiskach. Podstawowe ustalenia w tej dziedzinie zawarto w wspomnianej uchwale Egzekutywy KW PZPR opublikowanej w biuletynie KW PZPR „Punkt Widzenia” nr 116.

W tej powszechnej obywatelskiej mobilizacji w dziedzinie ładu, porządku i estetyki nie może zabraknąć aktywu i działaczy Towarzystw społeczno-kulturalnych sfederowanych w SSK „Pobrzeże”. Towarzystwa te zrodziły się przecież z potrzeby wspólnej pracy na rzecz środowiska, pielęgnowania tradycji kulturalnych i folkloru poszczególnych regionów i środowisk. Do towarzystw wstąpili obywatele najbardziej zatroskani o utrzymanie i rozwój bogactwa kulturalnego i piękna tej ziemi. Teraz, gdy wszyscy jesteśmy świadomi zagrożenia dla wielu z tych wartości, nie możemy być obojętni, bierni wobec postaw społecznie szkodliwych.

Od inicjatywy i zapału działaczy towarzystw regionalnych zależy, w jakim stopniu zapobiegniemy stagnacji, przywrócimy należną rangę sprawom tzw. estetyzacji województwa słupskiego.

ANTONI KUSTUSZ

Udział Pomorza Zachodniego w zbliżeniu wielkopolsko-pomorskim (2)

w 2 poł. XIII i początkach XIV wieku

Przedstawione wyżej (w poprzednim odcinku — „Gryf” Nr 2) kierunki polityki wewnętrznej władców zachodniopomorskich doprowadziły w konsekwencji do wejścia Pomorza Zachodniego w strefę preponderacji gospodarczej i politycznej Hanzы niemieckiej przy stopniowym zanikaniu kontaktów gospodarczych z ziemiami polskimi. Przeobrażenia etniczne oraz brandenburskie zwierzchnictwo lenne nad Pomorzem Zachodnim, przy utrzymywaniu się sytuacji konfliktowej z Pomorzem Gdańskim spowodowane zamiarem odebrania wschodnich obszarów kraju, ukazują bardzo złożoną sytuację Pomorza Zachodniego w 2 poł. XIII w. Jednak głównym celem polityki książąt zachodniopomorskich będzie walka z Brandenburgią o utrzymanie samodzielności politycznej państwa. W walce tej, związanej ściśle z obroną jego terytorium, z powodu niedostateczności własnych sił, pozostało szukanie pomocy u najbliższych sąsiadów. Wspólne zagrożenie agresją brandenburską stanowiło podstawę późniejszych zbliżeń z Wielkopolską i Pomorzem Gdańskim.

W pierwszych latach 2 poł. XIII w. Wielkopolskę i Pomorze Zachodnie łączyło dążenie do pokonania Świętopełka II. W 1258 r. książęta Wacław III i Barnim I zawarli przymierze z Bolesławem Pobożnym wspierając go w wyprawie na Kujawy, a książę wielkopolski wziął w 1259 r. udział w wyprawie Wacława III przeciw Świętopełkowi na ziemię stawieńską. Świętopełk pokonał przeciwników. Druga więc próba rewindykacji ziemi stawieńskiej do Pomorza Zachodniego zakończyła się również niepowodzeniem.

W 1264 r. Świętopełk wydzielił najstarszemu synowi Mściwojowi księstwo świeckie, rezerwując przydział Gdańska dla Wacława. Od tego momentu celem Mściwoja będzie opanowanie całego dziedzictwa Świętopełka. Do

realizacji tego celu szukać będzie sojuszników na Pomorzu Zachodnim, w Marchii Brandenburskiej i na końcu w Wielkopolsce.

Pozyskanie pomocy od Barnima I w obaleniu sukcesyjnej decyzji Świętopełka, co równało się wybuchowi walki z bratem Wacławem, stanowiło genezę zawartego 20 września 1264 r. w Kamieniu porozumienia dwóch książąt pomorskich: zachodniopomorskiego Barnima I i świeckiego Mściwoja II. Książęta ci byli ze sobą blisko spokrewnieni (kuzyni). W układzie kamieńskim Mściwoj II powierzył Barnimowi I i jego dziedzicom całą ziemię świecką z zastrzeżeniem, że będzie ją posiadał do końca życia. Ponadto przekazał wszystkie ziemie, grody, miasta, wsie oraz inne własności, które miały mu przypaść w przyszłości po ojcu i bracie. Powyższa darowizna wymierzona była przeciwko Świętopełkowi i Wacławowi, szczególnie zaś przeciw temu ostatniemu. Przyrzekając sukcesję w całym księstwie wschodniopomorskim, wykluczał z niej Mściwoja swego młodszego brata Wacława.

Rozwój sytuacji w najbliższych latach wykazał, że ze strony Mściwoja był to taktyczny wybieg, nie mający praktycznego znaczenia. Stanowił on „próbkę” zmiennej polityki tego władcy, zawierającej nieraz poważne zagrożenie dla przyszłych losów politycznych Pomorza Gdańskiego. Układ kamieński takimi konsekwencjami nie groził. Przeciwnie, gdyby doczekał się realizacji, do czego jak wiemy nie doszło, istniałaby realna podstawa prowadząca do zespolenia bardzo bliskich sobie księstw Polski dzielnicowej — Pomorza Zachodniego z Pomorzem Gdańskim. Szansa z Kamienia, w sposób trudny do wyjaśnienia, zaprzepaszczone została przez Barnima I, przed którym lub jego dziedzicami we wrześniu 1264 r. zarysowana została perspektywa objęcia władzy nad całym Pomorzem. Wskazuje się, że wydawała się ona mało realną dla Barnima I. Dotychczasowa postawa Mściwoja II, knującego przeciw własnemu ojcu i bratu najpewniej nie wzbudziła zaufania Barnima I do Mściwoja II. Toteż przy pierwszej okazji, którą przypisała śmierć Świętopełka w 1266 r. równoczesne zaangażowanie Mściwoja II i Wacława w walce

z Krzyżakami na wschodnich krańcach księstwa gdańskiego, wykorzystał ją Barnim I podejmując kolejną próbę odzyskania ziemi stawieńskiej i słupskiej. Tym razem zakończyła się ona połowicznym sukcesem, tj. rewindykowaniem do Pomorza Zachodniego ziemi stawieńskiej. Wyprawa i zajęcie ziemi stawieńskiej przekształcało porozumienie kamieńskie, a Mściwoj II zaczął rozglądać się za sojusznikiem celem podjęcia wspólnego wystąpienia przeciw Barnimowi I. Wybór padł na najniebezpieczniejszego wroga Pomorza Zachodniego jakim była Marchia Brandenburska. Rezultatem zabiegów Mściwoja II był układ z 1 kwietnia 1269 r. zawarty w Choszczynie. Mściwoj II zrzekał się wszystkich swoich posiadłości na rzecz margrabiów i wziął je od nich w dalsze posiadanie w postaci lenna. Ziemię białogardzką (nad Parsętą), która faktycznie znajdowała się w posiadaniu Barnima I, zastrzegł dla siebie margrabiowie obiecując, że osadzą w niej córkę i zięcia Mściwoja II. Układ z Choszczyna skierowany był w pierwszym rzędzie przeciwko Barnimowi I, drugim — przeciw Warcisławowi. Początek 1269 r. na Pomorzu Gdańskim znamionował bliski wybuch wojny domowej między braćmi. Pomorze Zachodnie zaś przeżywało bezpośrednie zagrożenie ze strony Marchii przez jej roszczenia do ziemi białogardzkiej zawarowane umową w Choszczynie.

Tymczasem do spornej między Pomorzem Gdańskim i Zachodnim ziemi stawieńskiej z pretensjami do prawa jej posiadania wystąpił książę rugijski Wsław II, spokrewniony z książętami wschodnio i zachodniopomorskimi. Zagrożenie Pomorza Zachodniego ze strony Marchii spowodowało, że Barnim I licząc na wsparcie księcia rugijskiego w konflikcie z Brandenburczykami przystał na zajęcie przez Wsława II ziemi stawieńskiej. Władca rugijski utrzymał się w niej do 1277 roku.

Na Pomorzu Gdańskim toczyła się walka Mściwoja II z Warcisławem. Mściwoj II zdobył na bracie w 1270 r. Gdańsk, ale nie będąc pewnym pomyślnego dlań zakończenia wojny ponownie poprosił o pomoc Askańczyków, przyrzekając oddanie w ich ręce za udzieloną mu pomoc, Gdańsk wraz z okolicą. Brandenburczycy bez wahania skorzystali z oferty Mściwoja II i w końcu 1271 r. Gdańsk znalazł się w ich ręku. Zajęcie Gdańska z okolicą przez margrabiów i wyrażne ich dążenie do opanowania całego Pomorza Gdańskiego zagroziło również Wielkopolsce. Dlatego też, kiedy Mściwoj II w celu wyparcia Brandenburczyków z Gdańska wezwał na pomoc Bolesława Pobożnego, ten niezwłocznie podążył na Pomorze: zdobył gród gdański i zmusił margrabiów do wycofania się z zajętych terenów.

Niepowodzenia margrabiów w walkach z Wielkopolską na pograniczu wielkopolsko-po-

morskim oraz klęskę na Pomorzu Gdańskim wykorzystało Pomorze Zachodnie podejmując walkę z Askańczykami. Przyjmuje się, że istniało bezpośrednie powiązanie walk antybrandenburskich Pomorza Zachodniego i Wielkopolski za Bolesława Pobożnego oparte na porozumieniu dwóch stron. Faktem jest, że w pierwszej, niszczycielskiej wyprawie Przemysła II na Marchię w maju 1272 r., której celem było odzyskanie Drezdenka, brali udział Kaszubi, poddani Barnima I. Wykazali się oni wielkim męstwem przy zdobywaniu grodu w Strzelcach. Kiedy na początku maja 1272 r. zawiązała się silna koalicja antybrandenburska na czele z arcybiskupem magdeburskim Konradem, do której należeli również książęta meklemburscy i książę rugijski Wsław II, margrabiowie znaleźli się w stanie wojny z Pomorzem Zachodnim. W czasie jednej z wypraw zorganizowanych przez Brandenburczyków w marcu 1273 r. spustoszyli oni ziemię szczecińską i pyrzycką.

W czasie walk zachodniopomorsko-brandenburskich i wielkopolsko-brandenburskich utrzymało się przedstawione powyżej porozumienie Wielkopolski i Pomorza Zachodniego oparte o wspólny cel — walkę z agresją brandenburską. Przypieczętowane zostało zawartym w poł. 1273 r. małżeństwem Przemysła II z wnuczką Barnima I, Ludgardą. W tym samym roku doszło również do zbliżenia książąt pomorskich Mściwoja II z Barnimem I. Sojusze wielkopolsko-gdański i wielkopolsko-zachodniopomorski oraz Pomorza Zachodniego z Pomorzem Gdańskim równały się powstaniu zespolonych sił trzech dzielnic Polski najbardziej narażonych na agresję brandenburską. Wykorzystanie tych sił mogło gwarantować nie tylko powstrzymanie dalszej ekspansji Marchii, ale również odzyskanie terenów zdobytych dotychczas przez margrabiów w Wielkopolsce i na Pomorzu Zachodnim.

Podstawę trójporozumienia z 1273 r. stanowiła Wielkopolska. Próby Bolesława Pobożnego włączenia Barnima I i Mściwoja II do skuteczniejszych działań antybrandenburskich na razie się nie powiodły. Nie doszło również do bliższej współpracy między Bolesławem i Barnimem I.

Mściwoj II zaś 3 września 1273 r. wszedł w nowe układy z margrabiami — Janem, Ottonem i Konradem, którzy dążyli do odebrania Wsławowi II ziemi stawieńskiej. Mściwoj II liczył również na ich pomoc w walce z Wsławem II

o tę ziemię. Na mocy zawartej ugody Mściwoj II zrezygnował z ziemi stawieńskiej i słupskiej na rzecz margrabiów i przejmował te ziemie w posiadanie od Brandenburczyków jako lenno. Sojusz z margrabiami, zawarty w dwa miesiące po przybyciu Ludgardy do Poznania był odpowiedzią na sojusz Pomorza Zachodniego z Wielkopolską. Przekreślał także układy z Choszczą i sprawiał, że margrabiowie musieli zadowolić się roszczeniami do ziemi stawieńskiej i słupskiej. Nie miał zaś praktycznego znaczenia, ponieważ Wstaw II utrzymał się w ziemi stawieńskiej do 1277 r., a ziemię słupską posiadał Mściwoj II. Układ Mściwoja z margrabiami z 1273 r. nie podważył dalszej współpracy Pomorza Gdańskiego z Wielkopolską, ugruntowanej pomocą w odzyskaniu Gdańska w 1272 r. Kilkuletnim sukcesom margrabiów zakończyły się ich dążenia w kierunku usadowienia się w ziemi stawieńskiej. Wstaw II nie mogąc utrzymać Stawna z okolicą sprzedał je w 1277 r. margrabiom. Przynależność ziemi stawieńskiej do Marchii utrzymała się do 1283 roku. Natomiast ziemię białogardzką znajdującą się w posiadaniu książąt szczecińskich, od 1276 r. zarządzał zięć Mściwoja II, Przybysław z Parchimia.

Po usadowieniu się margrabiów w ziemi stawieńskiej w 1277 r., zagrożeni bezpośrednim sąsiedztwem i wyraźnie rysującą się na przyszłość agresją brandenburską książęta: Bogusław IV zachodniopomorski, Mściwoj II i Przemysł II, nawiązali współpracę. Zaczęły powstawać przesłanki do odnowienia tróporozumienia z 1273 roku.

Tymczasem najbliższe lata upłynęły pod znakiem walk z zaborczością Brandenburczyków. Walki Wielkopolski z Askańczykami toczyły się bez przerwy od 1274 do 1278 r. i zakończyły się odzyskaniem przez Wielkopolan grodu w Santoku. Stwierdzony jest udział w nich (w 1278 r.) Mściwoja.

W toku walki ze wspólnym wrogiem dojrzewała więc Pomorza Gdańskiego i Wielkopolski popierana postawa ryceństwa i możnowładztwa

obu dzielnic uwieńczona układem kępińskim (15 II 1282 r.), w którym Mściwoj II przekazał w drodze darowizny *inter vivos* Pomorze Gdańskie Przemysłowi II. Zagrożenie zewnętrzne ze strony brandenburskiej i krzyżackiej doprowadziło do bardzo ważnego sukcesu w procesie zjednoczenia ziem polskich.

Tymczasem na Pomorzu Zachodnim czyniono przygotowania do zbrojnej rozprawy z Brandenburgią. W czerwcu 1283 r. doszło do zawarcia sojuszu obronnego skierowanego przeciw Marchii między książętami zachodniopomorskimi i Lubeką wspartą o największe miasta należące do Hanzy (Strzałów, Rostoka, Gryfia, Szczecin, Anklam, Kołobrzeg i Kamień). Natomiast mieszczaństwo miast położonych bliżej Marchii, jak Stargard i Pyrzyce wspólnie z duchowieństwem zakonnym pochodzenia niemieckiego, jak Kołbacz i Rurka, stanęli po stronie Marchii. Na początku lipca 1283 r. toczyły się już zacięte walki. Działania wojenne trwały do poł. 1284 r. Zakończyły się klęską i dużymi stratami Pomorza Zachodniego. Na mocy pokoju zawartego w Kołach w sierpniu 1284 r. Bogusław IV zobowiązał się zapłacić kontrybucję wojenną w wysokości 4 tysiące grzywien srebra. Do czasu jej wypłacenia margrabiowie otrzymali w zastaw północny skrawek ziemi wkrzańskiej wraz z grodem Wkryjściem. Traktat pokojowy dopuszczał ewentualną wymianę w zamian za ziemię wkrzańską, ziemie: Dobrą, Oleszno, Łobez i Białogard. Margrabiowie zajęli ziemię wkrzańską uzyskując w ten sposób dostęp do morza. Bogusław IV w lecie 1286 r., w bliżej nie znanych okolicznościach, odzyskał Wkryjście, a zgodnie z ustaleniami pokoju w Kołach przekazał im ziemie: Białogard, Oleszno i Dobrą. Ponieważ margrabiowie ociągali się z ustąpieniem z ziemi wkrzańskiej, Bogusław IV odebrał ją siłą. Od 1286 r. uzyskali więc Brandenburczycy zwierzchnią władzę nad sprawującym władzę w ziemi białogardzkiej Przybysławem z Parchimia.

(zakończenie w następnym numerze)

Być aktywnym

NA stole ustawiono drewnianą kolekcję bocianów, wiewiórek, żubrów, niedźwiedzi, saren, dzików, orłów, świstaków. Pod drewnianymi powłokami zaraz zagrają mięśnie i za chwilę cała menażeria ruszy po stole. Złudzenie ruchu stwarzają sakralne figurki maryjne, Chrystusa, postacie świętego Jana Chrzciciela i Mikołaja.

Rzeźbiarska kolekcja **Edwarda Pupela** jest niezwykle bogata i różnorodna. Jej motywy zmieniają się wraz z dojrzewaniem twórczym rzeźbiarza. Droga, jaką przebył Edward Pupel, do punktu zwrotnego we własnym życiu, była długa. Gdyby kiedyś, powiedziano mu, że będzie rzeźbiarzem, nie uwierzyłby, „bo życie było za trudne na takie zajęcie”.

Urodził się w 1911 roku, w miejscowości Linkieliszki (woj. wileńskie), gdzie z matką i dziewięciorgiem rodzeństwa mieszkał do 1945 roku. Od zakończenia wojny rodzina Pupelów kilkakrotnie zmieniała adres zamieszkania. **Dopiero sławno stało się jego przystanią życiową.**

Na rzeźbienie nie było czasu w pracownym życiu. Dopiero w 1976 roku zaczęła się ta rzeźbiarska przygoda. Będąc już emerytem, Edward Pupel polubił rowerowe wycieczki do lasu. Jedną z tych wycieczek zdecydowała o jego drodze twórczej. W lesie natrafił na piękną, grubą, ściętą sosnę, z której opadła kora. Była ona tak ciekawa, że aż ręce się rwały, żeby coś pięknego z niej zrobić. Pierwszą rzeźbą był orzeł piastowski. Później pojawiły się: Warszawska Syrena, świeczniki, perkoz w gnieździe. Od tej pory rzeźbiarz świadomie zaczął gromadzić kawałki drewna i klocki. Praca twórcza dawała mu ogromną satysfakcję. Rzeźbiąc zapominał o całym świecie, potrafił siedzieć przy pracy od świtu do zmroku. Wyczarowywał zapamiętane z dzieciństwa postacie — baletnic, tańczących górali, Syren, Neptunów. Dzisiaj pasją Edwarda Pupela są herby miast. Do tej pory wyrzeźbił już 17 takich płaskorzeźb w korze.

Wszystkie prace łączy wspólny zamysł twórczy — rzeźby figuralne zdają się być



Fot. Zbigniew Skoczylas

zastygłe w ruchu. Elementy dekoracyjne wykonane są z dużą precyzją, faktura rzeźb jest tak gładka, jakby toczona. Prace swoje Edward Pupel bejcuje i lakieruje. W miarę rozwoju warsztatu twórczego coraz więcej prac rzeźbiarskich nosi znamiona symboliczne. Kolekcja grzybów z ludzkimi twarzami — to przypowieści z „Pana Tadeusza”. Jest wśród nich także twarz Żyda Jankiela.

Edward Pupel jest wielkim miłośnikiem przyrody. Protestem przeciw niszczeniu natury jest rzeźba figuralna „**Oskarżyciele**”. Ropa naftowa zatruła morze, wyniszczyła ryby. Syrena i Neptun sprawują sąd nad ludźmi pokazując im nieżywą mewę.

Mimo niezbyt długiego „stażu twórczego” Edward Pupel ma spory dorobek. W 1980 roku otrzymał nagrodę w Konkursie Twórczości Ludowej i Pamiątkarskiej, organizowanym przez Muzeum Pomorza Środkowego, a w 1982 roku — nagrodę Dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki (UW). Nie są to jedyne nagrody i wyróżnienia, jakie posiada Edward Pupel.

**MARIA HASIEC
JOLANTA NITKOWSKA**

Człowiek, który przeżył własną śmierć

Czerwonoarmista z... Warszkowa

O wojennych przeżyciach i zasługach **Bazylego Hałasy** z Warszkowa pod Sławem wie dostownie garstka wtajemniczonych: najbliższa rodzina (córka, zięć i wnuczeta), z którymi zamieszkał wraz ze schorowaną żoną po przejściu w roku 1970 na rentę inwalidzką III grupy. Zna jego dzieje kilku zaprzyjaźnionych warszkowian oraz mieszkańców podmiasteczek wsi pegeerowskich Łubno, Obłęż i Osieki, gdzie w latach 1947—70 próbował zadomowić się jako repatriant z południowo-wschodnich krańców Rzeszowszczyzny, miejscowi działacze ZBoWiD i ZIW oraz stawieński lekarze i urzędnicy UG, do których zwrócił się pół roku temu z prośbą o uznanie za inwalidę II stopnia na podstawie dostarczonego przez córkę opisu swego stanu zdrowia. Zdrowia — jak zaznaczyć w podaniu — postradanego na wojnie, dzisiaj nie pozwalającego mu już nawet na poruszenie się o lasce.

Hałasa należy bowiem do ludzi zamkniętych w sobie, gardzących samochwalstwem, mających za nic sławę i zaszczyty, a przy tym absolutnie niezaradnych, nie umiejących zabiegać o swoje sprawy. Obsesyjnie nie lubi wracać myślą do tamtych dni, kiedy niepojętym do dziś cudem uniknął śmierci, resztki uratowanego życia okupując nadludzkimi wprost cierpieniami. Ponadto nie potrafi oddać w słowach tego co przeszedł w maju 1945, bo hitlerowski szrapnel, który wyrwał mu z kośćmi cały lewy pośladek, rozszarpał na strzępy kolano, zdruzgotał łokieć i przedramię oraz wbił się drobnymi odłatkami w czaszkę, spowodował postępujący z roku na rok paraliż i niedowład umysłowy oraz całkowitą utratę mowy.

Porozumiewa się Hałasa z otoczeniem za pomocą swoistego „języka migowego” i pewnej ilości sylab rozszyfrowywanych tylko przez jego córkę. Ona też służy mi za „tłumaczkę” podczas mojej wizyty w domu Bazylego Hałasy — jednego z nielicznych zamieszkałych na Pomorzu Środkowym b. czerwonoarmistów, który odznaczony został niedawno (przez konsula Konsulatu Generalnego ZSRR w Gdańsku, ministra pełnomocnego Lwa N. Wachramiejewa, w obecności sekretarza KW PZPR Mirosława Kondrata) medalem „Za zwycięstwo nad Niemcami w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej 1941—45”, przyznawanym przez Radę Najwyższą ZSRR w uznaniu wyjątkowej wagi czynów zbrojnych.

Oto próba rekonstrukcji losów cichego, 73-letniego bohatera z Warszkowa.

...Tuż po oswobodzeniu pierwszego skrawka ziemi polskiej w rejonie Chetmna Lubelskiego wojska radzieckie wkroczyły na Rzeszowszczyznę docierając aż pod Sanok i przepędzając hitlerowców z mej rodzinnej wsi Płonna. — Potrzebujemy wsparcia ze strony was, Pałaków — powiedział do wiwatujących na cześć Rosjan podsanockich chłopów jeden z podkomendnych pułkownika W. Skopenki. — Zbieramy bowiem siły do walki o przyczółek na Wiśle w rejonie Sandomierza, którego zdobycie nie będzie łatwe, a jest nam on niezbędny. Kto chciałby dołączyć do naszych oddziałów, niech bierze pepeszę w garść... Bez wahania poprosiliśmy, we dwójkę z kolegą (osiadłym

później w Związku Radzieckim), o karabiny i — tak staliśmy się żołnierzami I Frontu Ukraińskiego dowodzonego przez marszałka Iwana Koniewa.

Braliśmy udział w słynnych operacjach — krakowskiej i śląskiej, po zakończeniu których skierowano nas na teren Czechosłowacji z zadaniem jak najszybszego sforsowania niemieckich rubieży obronnych w górach i wzmocnienia oblężeniowego pierścienia wokół Pragi.

Zadanie okazało się piekielnie trudne, hitlerowcy — niezwykle silnie utartyfikowani, dysponujący potężnym zapleczem pancernym — bronili się zaciekle. Posuwaliśmy się naprzód wolno, bardzo wolno, ponosząc ogromne ofiary w ludziach i sprzęcie. Drobnych ran nikt nie próbował nawet liczyć. Traktowaliśmy je jako zwyczajny żołnierski „chleb powszedni”...

Na przedpolach Pragi walki przybrały wręcz desperacki charakter. Niemcy doskonale orientowali się, że wojska radzieckie, przy współudziale jednostek czechosłowackich i II Armii WP, planują przeprowadzić w dniach 6—11 maja 45 „operację praską”, która miała im umożliwić nawiązanie w zachodniej Czechosłowacji bezpośredniego kontaktu z amerykańsko-brytyjsko-francuskimi aliantami. Wiedzieli, że pragnienie przygotowania powstania zbrojne. Spodziewali się rychłej odsieczy doborowych formacji SS gen. Schörnera.

Stawiali więc twardy opór, szli — jak to się mówi — na całego. Dwa razy dziennie podrywaliśmy się do ataku i — za każdym razem wycinano nas w pień z ciężkiej broni maszynowej. Nie bacząc na ofiary błyskawicznie formowaliśmy nowe oddziały i szturmowaliśmy dalej hitlerowskie okopy. I tak w kółko...

5 maja przyszła kolej na mnie i mojego przyjaciela... Szarżowaliśmy jak straceńcy. Na nic się to nie zdało. Z całego batalionu ocalał tylko on i — po części — ja, reszta zginęła od kul wroga. Kolega widząc, w jakim jestem stanie i że nie daję żadnych oznak życia, urządził mi symboliczny pochówek żołnierski. Z zapadnięciem zmroku zawlókł mnie do pobliskiego lasu i złożył moje scharatane, ociekające krwią „zwłoki” na brzegu śródleśnego strumyka. Po dwu dniach, przed wyruszeniem do kolejnego ataku, wpadł tam upewnić się, czy „jakimś cudem nie ożyłem”. Okazało się, że istotnie żyję — dzięki zbawiennemu oddziaływaniu wody z rzeczki...

Choć nie rokowałem najmniejszych szans na wyzdrowienie, radzieckie dowództwo zdecydowało się przetransportować mnie samolotem do Soczi, zamienionego w czasie wojny na gigantyczny lazaret wojskowy. Rok liżałem się z ran, nim o kulach opuściłem szpitalne łóżko...

Teraz pan pewnie rozumie, dlaczego rozplakałem się niczym dziecko, gdy konsul Wachramienko przypinał mi do piersi order przyznany przez Radę Najwyższą ZSRR. To im, ludziom radzieckim, zawdzięczam przecież wyrwanie się ze szpon niechybnej śmierci. Jak oni umieją docenić żołnierski trud, ile u nich poszanowania dla szarego, prostego człowieka!... Po tylu latach potrafili odnaleźć jednego ze swoich szeregowych piechurów hen, w zabitym deskami Warszawie...

Jerzy Lissowski

Plateranki

(opowiadanie)

A było to, dokładnie rzecz biorąc, dziesięć lat temu. Z Lubania do Zalipia jest tylko sześć kilometrów. To dawne Zalipie Dolne dziś się nazywa — Platerówka. Wjeżdżamy na sam środek wsi. Zatrzymujemy się koło przystanku PKS z napisem: Platerówka na żądanie. Nazwa pochodzi od Emilii Plater, której imieniem ochrzczono batalion kobiety utworzony przy Pierwszej Armii polskiej w ZSRR. Potem znawcy nie chcieli się zgodzić na tę zmianę, argumentując, że Zalipie jest starą nazwą polską i idzie o przywiązanie do polskich tradycji. Trzeba było aż pojechać na sejm i to z tych ważnych, żeby przełamać Platerówkę. Tym razem władze lokalne i wyższe były przeciwko znawcom.

Przyczyną takiego ich podejścia do kwestii stał się zwyczaj, że jak ktoś z wysokich władz przyjechał do Zalipia w odwiedziny do „Platerówek”, to one z reguły wyjaśniały, że mieszkają na... Zadupiu. Miały ku temu liczne powody, bo wieś nie należała do najlepiej zagospodarowanych. Łatwiej tedy zmienić nazwę niż rzeczywistość. Platerówka także nie wydaje się najdosłowniejsza i lepsze byłoby Platerowo. Podobnie jak lepsza od Platerówki jest nazwa Plateranka. No ale upowszechnia się najczęściej to, co nie najłatwiejsze. W końcu nie idzie tu o nazwę lecz o kobiety. Nie tylko o nie, ale i o ich mężów, dzieci.

Dzielimy się na cztery grupy, my, to znaczy nauczyciele, plastycy i pisarze. Jesteśmy bowiem na plenerze literacko-plastycznym. Znów by trzeba wybrzydząć na nazwę, ale jeśli może istnieć „kurs literacki”? W końcu to przecież całkiem całkiem ciekawie zabrzmiałoby, gdyby ktoś mógł o sobie mówić: jestem po kursie literackim, albo: jestem na kursie literackim. My byliśmy na pewno na literackim plenerze. Plateranki bowiem żyją w prawdziwym plenerze. Wieś ani ładna ani brzydka. Trochę murowanek rozrzuconych wzdłuż ulicy — szosy, kilka sklepów, klub (nieczynny), pustawo bo przed południem ludzie przy pracy.

Mimo to cztery Plateranki zaoferowały przyjęcie naszym grupom we własnych domach. A poznaliśmy ich sześć: Stanisławę Szargę z domu

Gawielewicz, Genowefę Grutzner z domu Szczecińską, Zofię Adamowicz z domu Litwińczuk... Wszystkich Plateranek było kilkadziesiąt, a nie które mieszkają poza powiatem lubańskim, w powiecie Lwówek, w Warszawie, w Krakowie... Poznaliśmy ich sześć, a więc jeszcze... Zofię Kolędę z domu Grendzia, Jadwigę Kozakową z domu Piasecką i Walentynę Kalińską z domu Kałoszkę. Moja dziesiątka nauczycieli pojechała do Zalipia Górnego. Daleko stąd do Krakowa, a zrobiono jak widać krakowskim targiem, jak u nas w ogóle od lat wiele rzeczy — połowicznie. Zalipie Dolne zwano Platerówką, a Zalipie Górne zostało po staremu celem zadowolenia znawców, żeby nie szukali sobie jeszcze ważniejszego poła. Okazało się w Zalipiu Górnym, że Plateranka o niczym nie wiedziała, co wynikało z niedotarcia do niej przesyłanej drogą służbową informacji. To i dobrze, bo zastaliśmy ją jak spokojnie młóciła zboże ze swym mężem, a tak to by od rana medytowali, co z nami zrobić, czym nas przyjąć. Rzadko u nas z niedopilnowania obowiązków wynika coś dobrego, ale czasem jedynie to prowadzi do jakiegoś sensownego wyjścia. Zaczęliśmy rozmowy w chatupie, stwierdzając, że ta murowanka jest świeżo wymalowana, izby czyste, porządek jak na zamówienie.

— Jak pani trafiła do wojska?

— Z Syberii, gdzie znaleźliśmy się wraz z całą rodziną. Ojciec był leśniczym.

— Czy tak na ochotnika?

— Z poboru. Pewnie niejedna poszłaby i na ochotnika, żeby się wyrwać do Polski, ale i niejedna by się bała. A tak to wzięli i już.

— Dlaczego panie nie poszły do Andersa?

— My panie nie patrzyłyśmy wtedy Anders nie Anders, aby do polskiego wojska, ale tam brali na ochotnika, rodzice często nie puszczali dziewczyn, bo się bali.

Patrzmy a tu wchodzi córka Plateranki, więc ja zaraz do niej.

— Czy pani interesuje się przeszłością swoich rodziców?

— Słucham tego, co opowiadają, ale zawsze mi się zdaje, że wiele skrywają przed nami. Wyglądało się już w tych ciągłych opowieściach nawet i to wojowanie. Niedługo będzie to wyglądało na bohaterski spacerek spod Lenino do Warszawy. A przecież były po drodze i draństwo.

— Tak sobie myślę, czy ci młodzi dzisiaj są w stanie zrozumieć nas dobrze? Niby pytają, jak było, ale nie pytają o najważniejsze... o Polskę. A my panie były tak wychowane, że chciałyśmy Polski.

— Jak mamy dobrze zrozumieć tych co walczyli, skoro nie znamy całej prawdy?

— O widzi pan, oni tylko prawda i prawda. A co ja mogę zrobić...

Córka zaraz wyszła, żeby jechać autobusem, bo jest stażystką w niedalekim miasteczku.

— A mąż?

— Wojskowy, osadnik. A pobraliśmy się tak, że one te od Emilii Plater urządziły w Żalipiu zabawy, a my z okolic tu przyjeżdżaliśmy i braliśmy sobie żony. I ja tak sobie od razu swoją upatrzyłem. Jak dotąd nam dobrze idzie, chociaż ziemia licha, a klasę ma za to wysoką.

— Panie, ja tam nie chcę, żeby pan pomyślał, że my pragniemy żyć nad innych bośmy służyły w wojsku, ale czy władze nie powinny zadbać, żeby ta nasza wieś była wzorowo urządzona, żeby dostawy były na czas, klub nieczynny od dawna... A władze nierówno traktują dziewczyny. Jedne są lepiej widziane inne są mało widziane. A tam w obozie wojskowym to byłyśmy równe, chociaż każda miała inne stopnie. Tutaj się jakoś ta równość zrobiła nierówna. A myślałyśmy że nowa Polska będzie bez zarzutu... To rusza prezesa ZBoWiD z Lubania, który zresztą uprzedzał nas, że one umieją wygarnąć i skrytykować.

Tak sobie w tym czasie myślę, czy jest sens w takim obwożeniu gości i pokazywaniu im Plateranek? Trochę jest, a trochę nie ma. Krakowskim targiem. A dlatego, że nie zadbaną o formę, w której sens byłby zupełny. No bo co dalej: mają obecnie po czterdzieści — pięćdziesiąt lat. Co zostanie za dwadzieścia lat? Za czterdzieści?

— Zapraszamy panią na ogóle zebranie z całą grupą nauczycieli.

— Tak od młocki, nie ubrana? Ale ja to migiem...

Rzeczywiście za trzy minuty nasza Plateranka była przebrana w wyjściowy strój, lekko umalowana i teraz miała znów chyba nie więcej lat niż wtedy, w obozie wojskowym, na służbie wartowniczej w drodze od Lenino do Warszawy. Zaczęłam ją sobie wyobrażać taką dziewczęcą. Ale coś mi się to nie udawało. Zaraz też pojechaliśmy do Platerówki na zebranie. I znów stało się. One oderwane od młocki zdążyły ustawić stoły, nakryć je, kupić za swoje pieniądze kawę, oranżadę i ciastka. My pragnęliśmy się w takim jakimś obozowym kręgu, może lepiej gdzieś na łące pod lasem i o suchym pysku pogadać o dawnych czasach. Ale zawsze znajdują się organizatorzy, którzy nie znają odpowiedniej formy sprzyjającej... prawdzie. One same też chciały jak najlepiej nas ugościć. I my chciałyśmy jak najlepiej i zresztą było pięknie. Jedna z Plateranek zapytana, czy wierzyła w Polskę wolną, wyjaśniła w krótkim i pięknym słowie że nigdy nie traciła tej wiary, że wszystkie wierzyły. Czekaty tylko na znak. Znak przyszedł, więc poszły do polskiego wojska. Nie brały udziału w walce na froncie, ale wiele zginęło, niektóre w sposób bohaterski. Ciężko pracowały w służbach pomocniczych jako sanitariuszki, telegrafistki, wartowniczk. I najważniejsze, że ocaliły siebie od zapomnienia jakie towarzyszy losom zwyczajnym, bo niezwykajnie się im ułożyły te losy. Ocaliły się dla narodu polskiego, wychodząc z dalekiej Syberii i z innych zakątków ZSRR do kraju. A teraz sieją i orzą, gospodarzą na Ziemiach Odzyskanych. Takie słowa padały w czasie naszych rozmów i musiały padać. Trzeba tylko wypowiadać je w prostej tonacji, bez podnoszenia głosu i patetycznych gestów. Toteż w czasie niektórych mocnych przemówień Plateranki znacząco milczały.

Naraz strzeliła mi myśl do głowy, żeby tak władze lokalne zajęły się gromadzeniem wspomnień, zapisów i pamiątek Plateranek, żeby Klub Literacki Nauczycieli z Wrocławia w porozumieniu z ZG ZNP w Warszawie zainspirował kogoś do napisania choćby niewielkiej książki o nich, bo napisanie zdawkowych informacji w dziennikach, z okazji uroczystości, niczego nie załatwia. I znów jak to zwykle bywa wymienia się te najważniejsze ze względu na stopień lub obecne stanowiska. A przecież one najbardziej są wyczułone na równość. Z tym hasłem, obok hasła wolności, szły na służbę do wojska. Idzie mi więc o książkę pt.: Plateranki. Tymczasem

nie wiem, co sam zrobię, jestem tak daleko od Lubania i Lwówka. Świta myśl, żeby tu jeszcze przyjechać, ale to wszystko nie sprecyzowane. Teraz właśnie nauczyciele wychodzą z kwiatami i obdzielają nimi Plateranki, siedzące niejako przy stole przydialnym, chociaż nikt tak tego nie nazwał. Dwie z nich udaje się przechwycić do stołów nauczycieli. Znow ta forma urzędowa z nawyku — psuje bezpośredniość. A przecież wszyscy, także organizatorzy, chcą jak najlepiej. Są dalsze przemówienia, lecz powoli wygasają, wątki się rwą. Otwartyby serca, powiedziałyby surowe słowa o swej służbie, słowa — żołnierskie. Publicznie tak się jednak nie mówi. Na to trzeba innej formy i czasu. Jeszcze tylko podawanie sobie adresów, bo niektóre nauczycielki chcą poznać bliżej żołnierskie dusze. I wtedy gdy już jest naprawdę bezpośrednio, gdy nawet zorganizowane formy gdzieś prysły, trzeba wyjeżdżać. Dopiero teraz łapię się na tym, że prawie niczego nie dowiedzieliśmy się od Plateranek o przeszłości ani o dzisiejszym gospodarowaniu. Dopadam więc jeszcze prezesa ZBoWiD, który lubi mówić dużo i jest swego rodzaju opiekunem z urzędu nad wsią Platerówką.

— Czy z Platerankami były jakieś poważniejsze kłopoty w różnych okresach naszego życia powojennego?

— Twardo występowały przeciwko spółdzielczości produkcyjnej w latach pięćdziesiątych. Potem oburzały się na zdejmowanie krzyży w szkole. Wie pan, one są religijne, a w batalionie kobiecym, jak zresztą w całej Pierwszej Armii żołnierze brali udział w nabożeństwach polowych, z rana śpiewało się „Kiedy ranne wstają zorze...” nosiło się emblematy wiary katolickiej. Z tym szły do kraju.

— Rozumiem tedy dlaczego przez tyle lat Plateranki nie były właściwie eksponowane jako całość i jako osadniczek. Mówiono o Anieli Krzywoń i o Emilii Gierczak. To wystarczało dla celów propagandowych. Prawdziwe ich oblicze, tych co przeżyły, nie pasowało do oficjalnej fotografii. Kiedy po wielu zakrętach i zygzakach władza ludowa odeszła od koncepcji kolektywizacji i dyrygowanego laicyzmu, Plateranki znalazły z powrotem wspólny z nią język. Dzisiaj idzie już tylko (głównie) o teraźniejszość, a więc o gospodarność wsi jako całości, o kulturę i oświatę, o szkoły dla dzieci. O właśnie — dzieci wyfruwają z Zalipia, z Platerówki, do okolicznych miasteczek...

Brzmi jeszcze w uszach pieśń: „Na pożegnanie wszyscy razem”, a my dalej rozmawiamy, lecz tak się składa, że nie padają żadne słowa o bohaterstwie, a cała rzecz sprowadza się do tego, że te dziewczyny wyszły stamtąd do siebie.

— Możemy się pochwalić, że niektóre Plateranki zajmują stanowiska, są kierowniczkami sklepów...

— Ale żadnych stanowisk we władzach nie zajmujecie?

— A no niby nie. Czy to zresztą ważne?

Zawsze były przedmiotem działania propagandowego władz lokalnych. Sprawiały kłopoty. To i dobrze, bo nie zostały skażone oficjalnym żargonem, mówią po ludzku. Są zresztą mało-mówne, wbrew temu, co słyszeliśmy, że potrafią zakrzyknąć swego przewodniczącego gromadzkiej rady narodowej.

— A co wy możecie powiedzieć o swoich szkołach, bo nasza nie jest najlepsza.

Zupełnie nas zamurowało. Zrozumiały. Zaczęły więc pokazywać fotografie, albumy. Fotografia nie była najbogatsza. Dużą jej część zabrali przedstawiciele władz, dziennikarze. W ten sposób duża część dokumentów osobistych przepadła na zawsze. W tej sytuacji przyszła mi do głowy myśl, że napisanie relacji i pamiętników przez same Plateranki jest ważną ideą. Przecież to były wspaniałe, bohaterskie i piękne dziewczyny.

Przybyłem po dziesięciu latach znowu do Platerówki — Zalipia. Co zobaczyłem? Kilka starych — które już nie miały niczego do powiedzenia, co by się nadawało na powieść czy nawet na opowiadanie. I tak została zaprzepaszczona sprawa pewnej wsi, która skupiała kiedyś kilkadziesiąt dzielnych pięknych Polek idących z Sielc pod Lenino, a stamtąd do Warszawy, a potem niektóre aż do Kołobrzegu, a może jeszcze dalej. Została zadra w sercu. Stąd też się zaczęła idea napisania powieści „Stamtąd do siebie”, w której ukazuję te piękne dziewczyny, może nawet niektóre brzydkie, ale piękne w tym, że wierzyły w niepodległość kraju i te, które mogły, wrócić do niego, żeby w Zalipiu — Platerówce obsiewać polską ziemię.

Leszek Bakula

Orły odleciały... do gniazda

Ścisłej mówiąc — do Gniezna w styczniu br. „odleciała” na zawsze Kolekcja Orłów Polskich wykonana przez znanego nam powszechnie Tadeusza Czaplińskiego. Przez wiele lat, zwłaszcza od momentu przejścia na emeryturę artysta odwzorowywał na miedzianej blasze prawie trzysta wizerunków orla polskiego, odnalezionych na starych sztychach, dokumentach, sztandarach, sarkofagach. Mogły pozostać w Słupsku — gratis. Niestety — z żalem mówi artysta — nie znalazłono dla kolekcji locum a w moim mieszkaniu już było za ciasno. Z kronikarskiego obowiązku dodajemy, że **po słupskie orły** przybyła do Słupska ekipa Muzeum 1000-Lecia Państwa Polskiego.

★ ★ ★

Słupska Grupa Baletowa „Arabeska” odnotowała w br. 15-lecie swego istnienia. Akcentem jubileuszowym będzie dla tego zespołu występ w dniu 9 marca w trakcie uroczystości związanych z rocznicą wyzwolenia Słupska. A wkrótce potem chyba wyjazd do NRD — na występy w Rostocku i Dreźnie.

★ ★ ★

Dom Kultury Kolarza w Słupsku przyjmuje zapisy dziewcząt i chłopców w wieku do 15 lat — pragnących występować w zespole tańca nowoczesnego. Na chętnych oczekuje także Teatr Ruchu.

★ ★ ★

W Klubie PAX w Słupsku eksponowano w styczniu i lutym wystawę rysunku i malarstwa Stefana Fikusa — artysty amatora, poety kashubskiego z Lęborka.

★ ★ ★

Placówki kulturalne w Słupsku zorganizowały wiele interesujących imprez i zajęć o charakterze dydaktycznym dla dzieci i młodzieży — w okresie minionych ferii zimowych. M. in. w Młodzieżowym Domu Kultury odbyły się turnieje szachowe, tenisa. Dla młodych kinomantów wyświetlano filmy przygodowe.

★ ★ ★

Miejski Ośrodek Kultury w Lęborku ogłosił konkurs fotograficzny dla amatorów utrwalania piękna i przemian zachodzących w Lęborku. Stąd tytuł konkursu „Lębork”.

★ ★ ★

W Komendzie Wojewódzkiej MO w Słupsku odbyło się 26 stycznia spotkanie z liczną reprezentacją społeczeństwa miasta i województwa — na temat bezpieczeństwa i porządku publicznego. Obszernie dyskutowano m. in. o problemach wychowawczych wśród dzieci i młodzieży, o pracy kulturalnej i oświatowej jako formie kształtowania charakteru młodego Polaka, który — wbrew opinii jednego z dyskutantów — jest pełnoprawnym obywatelem. A że trzeba go wychowywać — to wspólny obowiązek rodziców i wspierającego ich społeczeństwa, które pragnie mieć wpływ na młodego obywatela.

★ ★ ★

W Sławnie prężnie działa środowisko miłośników i popularyzatorów dobrego filmu skupione w DKF. Z końcem stycznia zorganizowano w tamtejszym Domu Kultury seminarium filmowe poświęcone twórczości znanego radzieckiego reżysera Andrzeja Tarkowskiego.

★ ★ ★

Wystawa fotografii amatorskiej — plon wojewódzkiego przeglądu organizowanego do-rocennie przez WDK — rozpoczęła „objazd” po placówkach terenowych. Do połowy marca — Lębork (MOK), później kolejne miasta i GOK-i.

Zespół Pieśni i Tańca „Pomorze”, działający przy Lęborskim MOK obchodzi w tym roku 5-lecie istnienia. Zimowe ferie '83 „Pomorze” spędziło pracownie na zgrupowaniu w Jarosławcu. Przygotowano program „Malo-wanki słowińskie” — na marcową rocznicę wyzwolenia Lęborka.



Fot. J. Dawidowicz

Repertuar — marzec

Śląski Teatr Dramatyczny

Śląsk, ul. Wałowa 3, tel. 49-60, 38-39

— „Baba dziwo” — M. Pawlikowska-Jasno-rzewska, reż. Jowita Pieńkiewicz, scen. Liliana Jankowska

— „Don Juan” — Molier, reż. Paweł Nowicki, scen. Grzegorz Marszałek, muz. Zbigniew Preisner

(premiera) — „Apetyt na czereśnie” — A. Osiecka, muzyka M. Małecki, aranżacja B. Jar-mołowicz, reż. i choreografia Marta Bochenek

(premiera) — „Mały Książę” — scenariusz i ada-ptacja Zdzisław Jaskuła, Andrzej Mellin, reż. Andrzej Mellin, sceno-grafia i kostiumy Ewa i Paweł Ogielscy, muz. Bohdan Jarmołowicz

Państwowy Teatr Lalki „Tęcza”

Śląsk, ul. Waryńskiego 2, tel. 87-94, 39-35

— „Czimi” — Borys Apriłow, reż. Zofia Miklińska, scen. Ali Bunsch, muz. Wanda Duba-nowicz

(premiera) — „Dziecko gwiazdy” wg O. Wilde, reż. Janusz Galewicz, muz. Zofia Stanczewa, scen. Barbara Witczak

Koncerty Śląskiej Orkiestry Kameralnej

Śląsk, ul. Wałowa 3

Koncerty karnawałowe z udziałem znanych so-listów, m. in. Łucji Prus — śpiew, Henryka

Barczaka — trąbka. Dyryguje — Bohdan Jar-mołowicz

9.03.1983 — Kępice

10, 11.03.1983 — Śląsk

Koncert symfoniczny, solista Tadeusz Chmie-lewski (fortepian), dyryg. Krzysztof Teodorowicz — I Koncert fortepianowy C-dur — L. van Beethoven

— Serenada Hoffnerowska — W. A. Mozart

23.03.1983 — Miastko

24—25.03.1983 — Śląsk

Biuro Wystaw Artystycznych

Śląsk, ul. P. Findera 3, tel. 40-41

„Baszta Czarownic” — I poł. marca — „Pertret kobiety” — ze zbiorów własnych Muzeum Po-morza Środkowego w Śląsku

II poł. marca — „Grafika toruńska” — wystawa 8 artystów grafików z Torunia

Klub Międzynarodowej Książki i Plastyki — „Francuski plakat kulturalny” — ze zbiorów Wł. Serwatowskiego (Warszawa)

Muzeum Pomorza Środkowego

Śląsk, ul. Dominikańska, tel. 40-81

Zamek Książąt Pomorskich

— Malarstwo Tymona Niesiołowskiego — Por-trety S. I. Witkiewicza — Rzemiosło i prze-mysł artystyczny II poł. XIX w.

Młyn Zamkowy

— Kultura materialna i sztuka ludowa Pomorza.

Nielatwe to były początki

Sławno zostało wyzwolone w dniu 8 marca 1945 r. Początkowo w wyzwolonym mieście i powiecie władzę sprawowała RADZIECKA KOMENDANTURA WOJENNA pełniąc funkcje administracji cywilnej i wojskowej, dbając o porządek publiczny, bezpieczeństwo ludności i zabezpieczając porzucone przez Niemców mienie. Później, bo dopiero 3 maja, przybyła do Sławna 35 osobowa grupa operacyjna Polaków z pełnomocnikiem Rządu Józefem Czarnieckim i stopniowo przejmowała władzę w mieście i powiecie.

W dniu wyzwolenia, według relacji naocznych świadków, miasto było zniszczone w 80 procentach, spalone i zrujnowane. Znajdowało się w nim około 2000 Niemców i 200 Polaków, przywiezionych przez Niemców na roboty przymusowe¹.

Nielatwe to były początki. Trzeba było miastu przywrócić życie: uruchomić elektrownię, gazownię, wodociąg, zapewnić napływającym osadnikom bezpieczeństwo, dach nad głową, wyżywienie, pracę i opiekę lekarską.

W niespełna 2 lata po wyzwoleniu miasto liczyło już 4 tysiące mieszkańców. Działy w nim urzędy komunalne, urzędy, zakłady pracy. Funkcjonował handel i rzemiosło, szkoły, przedszkola i placówki kultury. Miejskowe władze, wspierane przez ludność polską, dokonały wprost nadludzkich wysiłków by miasto przywrócić życiu.

Najszybciej zorganizowała się oświata. Pod koniec 1945 r. na terenie powiatu sławieńskiego czynnych było 6 przedszkoli i 21 szkół podstawowych, do których uczęszczało ponad 2 tysiące uczniów. Były to przeważnie szkoły z 1—2 nauczycielami. Ale jeszcze około 800 uczniów wskutek braku szkół i nauczycieli było pozbawionych możliwości nauki. Spośród 31 nauczycieli 20 posiadało kwalifikacje zawodowe, a „jedenastu (jak donosi sprawozdanie sytuacyjne) stanęło do pracy tylko z zapasem dobrych chęci i patriotycznego zapału”.

Trudna była sytuacja w kulturze. Nie działały instytucje kulturalne. Sale teatralne i kinowe były zniszczone i roszabrowane. Brakowało pieniędzy na remonty, zakup książek i niezbędne instrumenty muzyczne, na płace dla pracowników, a jednak już w październiku 1946 r. w Sławnie otwarta została biblioteka a wcześniej;

w maju wystawiono własnymi siłami sztukę teatralną, w lipcu uruchamiono kino.

Czytając dokumenty z tamtych lat uświadamiamy sobie w jak trudnych warunkach, z jakim wielkim zapałem i poświęceniem dźwigano z ruin życie. Oddajmy głos dokumentom. Niech zaświadczą jak trudno było budować dzisiaj teraźniejszość.

Starosta powiatowy donosi: „Po otrzymaniu dokumentów w Pile, dnia 20 kwietnia 1945 r. uzyskaliśmy w Komendzie Kolejowej osobny wagon do załadowania całego transportu do Sławna. Podróż do Sławna trwała 3 dni, przyjechaliśmy wieczorem 3 maja. Pierwszą konferencję z Komendantem Wojennym powiatu odbyłem 4 maja. Ustaliliśmy wstępne formalności przejęcia władzy w mieście. Dnia 4 maja odbyło się u Komendanta Wojennego oficjalne przekazanie czynności administracyjnych Pełnomocnikowi Rządu w obecności wszystkich pracowników Starostwa i Magistratu.

„Przybyliśmy do Sławna 3 maja 1945 r., gdzie nie było dotychczas żadnych polskich władz, a bezpieczeństwo całego powiatu spoczywało w rękach sowieckich. Załoga MO wynosiła 5 osób, a uzbrojenie składało się z 2 karabinów”.

„Co do działalności samego komitetu miejskiego PPR donoszę, iż utworzono już komórki kolejarzy PKP. Później zorganizowano komórkę z Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, a w najbliższych dniach zostanie utworzona komór-

Nielawie to były poczętki



Z. I. JANUSZEWSKI

ka PPR przy MO. Najgorzej stoi praca na terenie powiatu i to z braku personelu w Komitecie Powiatowym PPR...".

Protokół z inauguracyjnego posiedzenia MRN w Sławnie w dniu 10 lutego 1946 r. „Wysunięte przez Międzypartyjną Komisję miasta Sławna kandydatury do Prezydium Miejskiej Rady Narodowej; przewodniczący — Kostian Henryk, zastępca przewodniczącego — Głowacki Józef, członkowie — Gerlach Antoni, Bińczyk Józef, Rzepecki Stanisław — zostały przyjęte jednogłośnie”.

15 maja 1945 r.: Starosta Powiatowy do Kuratorium Okręgu Szkolnego w Szczecinie: „Proszę uprzejmie o przystanie do Sławna inspektora szkolnego, który by zabezpieczył majątek szkolny tak w Sławnie jak i całym powiecie. Budynki szkolne są w nienaruszonym stanie. Nie mam możliwości ochrony szczególnie pomocy naukowych, które z powodu braku opieki zostały zdewastowane. Dużo można jeszcze uchronić, gdyby był na miejscu nauczyciel lub kierownik szkoły”.

„W dniu 26 czerwca 1945 r. przybył do Sławna p.o. Inspektor Szkolny ob. Wojtyniak”.

8—25 października 1946 r. „Szkoła powszechna w tutejszym mieście po gruntownym odnowieniu budynków w sezonie wakacyjnym przystąpiła do nauczania. Obecny stan młodzieży uczącej się wynosi 516 dzieci. Warunki nauczania bardzo dobre. Natomiast brak jest nauczycieli, podręczników szkolnych i pomocy naukowych. Miejskie przedszkole jest czynne. Zapisanych jest około 50 dzieci”.

W dniu 5 sierpnia 1947 r. — Przewodniczący MRN do Przewodniczącego PPRN: „Na pismo... w sprawie stanu używalności budynków szkolnych i mieszkań dla nauczycieli komunikuję, że takowe są w należyтым porządku. Obecnie Zarząd Miejski przeprowadza potrzebne remonty w szkole powszechnej, które będą wkrótce ukończone. Nadmieniam, że nauczyciele tutejszej szkoły posiadają mieszkania bezpłatne

i ulgi w opłatach za używanie gazu i wody. Miasto Sławno posiada 1 szkołę powszechną, 1 szkołę zawodową i 2 przedszkola”.

„10 maja 1946 r. zawiązana została Rada Kultury w Sławnie, do której wchodzi 12 osób wybranych z rozmaitych instytucji, a które czuwać będą nad rozwojem rozmaitych instytucji kulturalnych”.

„W dniu 5 maja wystawiono w sali Domu Kultury sztukę A. Łączyńskiej pt. „Wczoraj i dziś” w zespole amatorskim — jako pierwszy wyczyn samodzielny tutejszego społeczeństwa. Powodzenie było wielkie, a przede wszystkim ochota do dalszej akcji jak najbardziej wzrosła, zawiązało się Kółko Dramatyczne, przystąpiono do opracowania nowej sztuki „Na tonie przyrody” Bałuckiego...”. „Praca w Kółku Przyjaciół Literatury trochę przygasa...”.

„Staraniem referatu kultury i sztuki urządzono scenę, dekoracje, rozłożono opiekę nad salą teatralną i obecnie często przyjeżdżające trupy teatralne mają dobrą salę, kulisy do dyspozycji.

27 lipca 1946 r. „Dnia 6 lipca zostało otwarte kino w Sławnie. Powstałe kino wyświetla filmy trzy razy w tygodniu dające godziwą rozrywkę dla tutejszej ludności”.

Październik 1946 r. „Daje się odczuć w naszym mieście brak dobrze zorganizowanej czytelnicy i biblioteki, a brak słowa pisanego jest wielki...”.

„20 października tegoż roku rozpoczyna działalność Biblioteka Powiatowa w Sławnie”.

„W okresie sprawozdawczym gościły w Sławnie następujące trupy teatralne: Warszawski Teatr Aktualności i Satyry, Teatr Domu Żołnierza z Koszalina, Teatr Miejski ze Słupska”.

1 Cytaty zamieszczone w tekście pochodzą z dokumentów archiwalnych miasta i powiatu Sławno, znajdujących się w Wojewódzkim Archiwum Państwowym w Słupsku.

Wstęp i wybór dokumentów

L. MASIUKIEWICZ

Udział ZMW w życiu kulturalnym

Na początku 1981 roku reaktywowała się w województwie śluskim organizacja Związku Młodzieży Wiejskiej. Pierwsze koła powstały w rejonie człuchowskim a następnie w innych. Obecnie z każdym miesiącem rośnie liczba kół i członków.

Zarząd Wojewódzki ZMW w Ślupsku a także zarządy rejonowe i koła odwołują swe programy wprost do tego nurtu społecznego wsi, który wyznacza tradycja samodzielnych środowisk organizacji, jej młodzieży: ZMW „Wici”, ZMW, ZSMW.

Przy Zarządzie Wojewódzkim ZMW w Ślupsku działają: Komisja Kultury oraz Komisja Oświaty i Samokształcenia. Są to ciała pomocne w programowaniu działalności kulturalno-oświatowej śluskiej organizacji ZMW. Od I Wojewódzkiego Zjazdu ZMW (marzec 1981) podjętym zostało szereg działań na rzecz rozwoju życia kulturalnego i oświatowego na wsi śluskiej.

W początkowym jak i w obecnym etapie istnienia odrodzonego ZMW bardzo istotne jest wyszkolenie własnego aktywu, który w przyszłości programowałby i organizował życie kulturalno-oświatowe kół ZMW oraz środowiska wiejskiego. W związku z tym ZW ZMW przeprowadził szereg trzydniowych szkoleń, zarówno wojewódzkich, jak i rejonowych (m. in. w Człuchowie, Miastku, Bytowie, Lęborku, Ślupsku). W szkoleniach uczestniczyli aktywiści ZMW i pracownicy placówek kulturalno-oświatowych. Program obejmował nie tylko podstawowe zagadnienia kultury, formy pracy kulturalno-oświatowej, działalność wiejskich placówek kultury, ale również zajęcia z haftu kaszubskiego, kolekcjonerstwa i hobby, teatru amatorskiego, kultury żywego słowa, organizacji punktów bibliotecznych i teatrzyku kukielkowego.

Co roku z okazji Dnia Nauczyciela organizowane są uroczyste spotkania. Uczestniczą w nich zarówno nauczyciele szkół wiejskich jak i rolniczych. Z inicjatywy ZW przeprowadzono szereg rejonowych kursów tańca towarzyskiego. W miesiącu kwietniu br. odbędzie się wojewódzki finał kursu zakończony wielkim wojewódzkim konkursem. W marcu 1982 r. ZW ZMW ogłosił konkurs na Złotą Księgę ZMW. Był to konkurs na najlepszą kronikę koła ZMW opisującą tradycje i dzień dzisiejszy. Z okazji Międzynarodowego Dnia Kobiet co roku odbywają się uroczyste spotkania Wojewódzkiej Rady Dziewcząt ZMW z byłymi działaczkami ZMW.

Znając trudną sytuację czytelnictwa na wsi (70% mieszkańców wsi nie czyta w ogóle) Zarząd Wojewódzki zorganizował w dniach 7-9 października 1982 r. Krajową Konferencję Czytelniczą ZMW.

Ponieważ najbardziej popularną formą rozrywki na śluskiej wsi (i nie tylko) jest dyskoteka, ZW ZMW zorganizował miesięcz-

ny kurs dla prezenterów dyskotek. Kurs miał na celu podniesienie poziomu organizowanych dyskotek. Program obejmował podstawowe zagadnienia związane z dyskoteką, technikę mikśowania, historię muzyki rozrywkowej, zajęcia praktyczne oraz ukierunkowanie do egzaminu weryfikującego. Ze względu na dużą ilość chętnych w marcu 1983 r. zorganizowany zostanie drugi tego typu kurs.

Ponieważ 70% członków śluskiej organizacji ZMW to młodzież szkolna, więc bardzo popularną formą są „Trzydniówki Kulturalne” Młodzieży Szkolnej. Pierwsza „Trzydniówka” odbyła się w Zespole Szkół Rolniczych w Ślupsku, następna w Technikum Leśnym w Warcinie (pierwsza — listopad 1982, druga — styczeń 1983). W czasach tych trzech dni młodzież pracowała w kilku sekcjach np. haftu kaszubskiego, muzycznej, tanecznej, teatralnej, plastycznej pod kierunkiem instruktorów. W sekcji tanecznej można było nauczyć się m. in. dżajfa, cza-czy, poloneza, walca czy tanga. W sekcji muzycznej trwała nauka hymnu ZMW, piosenek młodzieżowych i ludowych. W sekcji teatralnej można było popробować swoich sił w pisaniu scenariuszy i reżyserii. Plastycy popisali się swoimi umiejętnościami w sekcji plastycznej.

Młodzież zrzeszona w śluskim ZMW przystąpiła do tworzenia lub (w niektórych wypadkach) reaktywowania Społecznych Rad Klubów. Działania te mają na celu aktywizowanie wiejskich klubów kultury. W związku z powyższym ZW ZMW w Ślupsku organizuje w marcu 1983 r. szkolenie dla członków Społecznych Rad Klubów. Organizacja przyjęła patronat nad Zespołem Ludowym w Żalaskach (gm. Ustka) działającym przy Wiejskim Domu Kultury. Jest to zespół wokально-taneczny, kultywujący piękne tradycje ludowe. ZMW zakupił dla tego zespołu komplet strojów ludowych. Ponieważ wznawia pracę coraz więcej amatorskich zespołów muzycznych, tanecznych, wokalnych, Zarząd Wojewódzki planuje na m-c maj br. zorganizowanie Wojewódzkiego Przeglądu Dorobku Artystycznego ZMW.

Przy Zarządzie Wojewódzkim ZMW działa Komisja Historyczna, której członkowie gromadzą dokumenty z przeszłości organizacji i w razie potrzeby służą doświadczeniem, radą i pomocą młodym kontynuatorom klubowych tradycji ZMW. Komisja przygotowuje materiały do opublikowania biuletynu pt. „Z naszych tradycji”.

Obecnie odbywają się w rejonach imprezy pn. „Spotkania pokoleń”, w czasie których byli działacze wiejskich organizacji młodzieży mówią o swoich doświadczeniach a młodzi członkowie ZMW o swojej obecnej pracy.

Zenon Sobecki

Instruktor muzyczny — animator kultury

To stwierdzenie jest aktualne zawsze... żyjemy w okresie szczególnego tempa docierania do ludzkiej świadomości poprzez muzykę. Muzyka łączy ludzi na całym świecie. Muzyka — rzekłby Jerzy Waldorff — łagodzi obyczaje. A więc — jest źródłem przeżyć emocjonalnych a jej dobroczynny wpływ da się zauważyć w wielu dziedzinach życia, między innymi w medycynie (muzykoterapia) wpływa na psychosomatyczny ustrój człowieka.

Rozwój, skala muzycznej percepcji w społeczeństwie jest uzależniona od jakości jej upowszechniania, od talentów pedagogicznych i popularyzatorskich ludzi, którzy zawodowo tym się zajmują. A więc w przypadku ogromnej liczby placówek kulturalnych w miastach i na wsi — rolę tę spełniać winien instruktor muzyczny, człowiek w tej dziedzinie odpowiednio wykształcony, wrażliwy na wiele dziedzin sztuki składających się na funkcję kulturotwórczą placówki.

Wartość pracy instruktorów najłatwiej ocenić rozwojem ruchu amatorskiego w terenie, artystycznym poziomem zespołów amatorskich istniejących w placówkach. Wtedy okaże się, że zatrudnieni w nich instruktorzy są faktycznymi animatorami w kulturze. A więc — praca instruktora jest tym pierwszym ogniwem zespalaającym grupę ludzi w zespół muzyczny, chór, zespół wokalny. Od fachowości instruktora często zależy, że ujawnione zostaną autentycznie utalentowane jednostki, czy uwidoczni się członkom zespołu ich uzdolnienia, czy pobudzi się ich do wydajnej pracy nad sobą. Dopiero w tym momencie niezwykle ważne jest ogniwo drugie — stały rozwój uzdolnień, tworzenie się zespołu muzykującego, który jako grupa rozwija się muzycznie i ma coraz większy wpływ na krzewienie kultury muzycznej w szerszych kręgach społecznych. Jeśli taki fakt nastąpi — jest to tym większa zasługa instruktora, którego dopiero w tym momencie możemy z całą odpowiedzialnością nazwać **animator kultury**.

Utworzenie a następnie odpowiednie przygotowanie zespołu do występów wymaga więc od instruktora ogromnej pracy, poko-

niania szeregu problemów (dobór kandydatów, wybór repertuaru z uwzględnieniem stopnia trudności, aranżacja utworów muzycznych, sprawy organizacyjne) — zanim osiągnie się ów początkowy efekt dający członkom zespołu pierwszą satysfakcję, zachętę do jeszcze wydajniejszej pracy.

W województwie śluskim mamy wiele interesujących pod względem działalności amatorskich zespołów artystycznych. Zespół kaszubski „Jasień” należy do najstarszych — propagujących wartości folkloru kaszubskiego. Prowadzony przez wiele lat przez Bronisława Stolca ma w swym repertuarze oprócz utworów muzycznych obrzędy ludowe (np. Wesele Kaszubskie). Na scenie członkowie zespołu występują w barwnych kaszubskich strojach. Prezentowany przez „Jasień” obrzęd weselny zawiera wiele elementów natury zarówno społecznej jak i ściśle folklorystycznej. Jest to co prawda folklor widowiskowy — gdyż jego istnienie akcentowane jest w środowisku celowo zorganizowanym — a więc na scenie, w plenerze, z celowo dobranym repertuarem, z ograniczonym czasem trwania (autentyczne wesele kaszubskie trwa 2—3 dni), jednak zawiera trwale wartości estetyczne.

Na słowa pochwały zasługuje folklorystyczny zespół amatorski z Gumieńca, założony przez Marię Bielak, prezentujący folklor „na żywo”. We Wrześnicy istnieje zespół folklorystyczny „Wrześniczanki” — utworzony przez członkinie miejscowego Koła Gospodyń Wiejskich. Prowadzi zespół nauczyciel Stanisław Graba. Panie z Wrześnicy występowały wielokrotnie w środowisku zamieszkania i okolicznych miejscowościach.

Amatorskie zespoły artystyczne nie tylko wychowują muzycznie lecz także przygotowują do życia w określonym środowisku. Widać więc — jak wiele zależy od instruktora muzycznego i jego zespołu, od umiejętnego wykorzystania instruktorskiego doświadczenia i wiedzy fachowej. Nie zawsze zdajemy sobie sprawę z tego, jak ciężką pracą okupiony został sukces na scenie.

Lęborskie początki

Zawsze, kiedy nadchodzi rocznica wyzwolenia mojego miasta, sięgam bezwiednie pamięcią do tych dni, gdy jako 12 letni chłopiec po raz pierwszy znalazłem się w wyzwolonym Lęborku. Ojciec mój, który szczęśliwie przetrwał obóz w Stutthofie i uciekł z tzw. „drogi śmierci” szybko włączył się w nurt odbudowy zniszczeń wojennych. Już w pierwszych dniach kwietnia przyjechał do Lęborka, gdzie był współorganizatorem Milicji Obywatelskiej, jako oficer MO brał udział w likwidowaniu grup niedobitków hitlerowskich i różnych band jakie grasowały na tym terenie, aktywnie pomagał w tworzeniu się nowej państwowości.

Z pierwszych tygodni pobytu w Lęborku pamiętam niewiele: obcość miasta, niejasny lęk przed licznymi ruinami, długie godziny oczekiwania na ojca, który mógł nie wrócić i troskliwe zabiegi matki, która z poświęceniem organizowała nowe życie i starała się wynagrodzić nam nieudane wojenne dzieciństwo.

Nadeszła chwila, której nie zapomnę nigdy — pierwszy dzień w polskiej szkole. Już znacznie wcześniej mówiło się, że będzie szkoła, że już wyznaczono budynek, że brak nauczycieli, że jeszcze za mało zgłosiło się dzieci i wreszcie... 24 maja 1945 roku razem ze starszym bratem poszedłem do szkoły, która mieściła się przy ul. Garbarskiej (obecnie ulica ta nosi nazwę M. Reja, a w budynku mieści się Ośrodek Szkolno-Wychowawczy). Wśród witających nas osób był kierownik szkoły Brunon Zinka, Inspektor Szkolny Tadeusz Lubicz-Majewski — szczególnie oddany sprawie organizowania szkół na Ziemi Lęborskiej oraz proboszcz lęborskiej parafii, niemiecki ksiądz dr E. Heinrig, który w czasie wojny, z narażeniem życia przyjmował wielu Polaków, chcących wypowiadać się po polsku.

Na rozpoczęciu nauk było nas zaledwie 19 dzieci; różnych nie tylko wiekiem i wzrostem ale i wielkością przeżytych upokorzeń, cierpień i strat wśród swoich najbliższych.

Patrzyliśmy na siebie i na otaczających nas ludzi z lękiem i nieufnością, gotowi w każdej chwili do ucieczki. Z całej uroczystości zapamiętałem głównie następujący fakt: jeden z nauczycieli zapytał nas, czy znamy jakiś polski wiersz; wówczas wstała jedna z dziewcząt i drżącym głosem wyrecytowała Rotę:

*„Nie rzucim ziemi skąd nasz ród,
Nie damy pogrześć mowy...”*

Właśnie wtedy przypomniałem sobie jak na początku wojny matka wieszała nam na szyi pakieciki zaszyte w płótno, zawierające nasze nazwiska, imiona i inne dane; miało to nam pomóc odnaleźć się na wypadek, gdyby losy wojny nas rozdzieliły. Pamiętam jak matka ze łzami w oczach prosiła, abyśmy zawsze pamiętali, że jesteśmy Polakami i sprawdzała czy umiemy polską modlitwę, wiersz zaczynający się od słów: „Kto ty jesteś? Polak mały...” i właśnie Rotę.

Udało mi się odszukać tę dziewczynę. Dziś Edyta Stenka jest matką dorosłych dzieci, nosi nazwisko Wenta i dalej mieszka w Lęborku. Z jakim ogromnym wzruszeniem wspominaliśmy tamte dni, tamte dziecięce kłopoty i porażki, późniejsze losy nasze i naszych rodzin. W pewnej chwili pani E. Wenta wyjęła z pakietu pamiątek, dokument o szczególnym znaczeniu. Była nim legitymacja szkolna, wypisana niemiecką maszyną na zwykłym papierze, z okrągłą pieczęcią Inspektoratu Szkolnego w Lęborku i podpisem pierwszego kierownika szkoły. Legitymacja nosi numer 1 (!)

Dzisiaj, jako nauczyciel z ponad 30-letnim stażem, mogę sobie wyobrazić ogrom trudności i problemów, jakie mieli z nami ci pierwsi nauczyciele: B. Zinka i jego żona Anna, J. Serafiński, Majewska i Klimkowski. Każde z dzieci prezentowało inny poziom, inne przygotowanie, inne środowisko; mówiliśmy różnymi gwarami, z dziwnym akcentem, niektórzy dopiero uczyli się polskiej mowy. Brak było zeszytów, papieru, ołówków, piór a przede wszystkim książek.

Przychodziliśmy do szkoły źle ubrani, niezręcznie głodni, pełni lęku przed tym, co może zdarzyć się w szkole lub w drodze do domu.

W pierwszym dniu nauki podzielono nas na dwie klasy: w jednej były dzieci polskie i kaszubskie dobrze znające język polski, w drugiej dzieci tych autochtonów, którzy zamieszkiwali przed 1939 rokiem w granicach Rzeszy, a więc ich dzieci miały kłopoty z językiem polskim. Po dwóch tygodniach nasza „polska” klasa liczyła już 26 uczniów i wtedy rozdzielono nas na dwie a potem 3 klasy. 18 czerwca ilość dzieci w całej szkole wzrosła do 75 i wtedy utworzono wszystkie oddziały od I do VII.

Szybko zaczęły powstawać nowe szkoły podstawowe. Przy ul. Warszawskiej otwarto szkołę Nr 2. Lasy tej szkoły były wyjątkowo burzliwe; przenoszona z budynku do budynku, dzielona a nawet zawieszana i znów otwierana „ustatkowała się” wreszcie, stając się znaną i na wysokim poziomie prowadzoną szkołą ćwiczeń. 9 lipca 1945 roku utworzono nową szkołę — nr 3 — w budynku przy ul. Szerokiej (obecnie Łokietka). Kierownikiem tej szkoły był Józef Januchta, późniejszy Inspektor Szkolny w Lęborku. W dniu 3 września 1945 roku naukę w tej szkole rozpoczęło 33 uczniów pod opieką 7 nauczycieli: A. Wieckiego, S. Serafińskiego, M. Papierkowskiej, H. Hejnarowej, Z. Daneckiej i M. Bilewiczówny oraz kierownika J. Januchty.

Tegoż samego dnia rozpoczęła działalność kolejna szkoła — nr 4 — przy ul. Stalina (obecnie Aleja Wolności). Pierwszym kierownikiem tej szkoły był Mikołaj Kasperowicz, a nauczycielami: H. Zielińska, W. Zieliński, J. Kochańska, W. Kotłowska, A. Ilewicz i S. Klimkowski. Szkoła ta rozwijała się bardzo szybko — od 40 uczniów na początku roku, do 113 pod koniec września i 300 w grudniu 1945.

Zaczął się rejonizacja, przenosiły się dzieci z jednej szkoły do drugiej, zmieniali się bardzo często nauczyciele, kierownicy szkoły, jednak sytuacja w szkolnictwie podstawowym systematycznie stabilizowała się.

Zacząły powstawać szkoły średnie. We wrześniu 1945 roku rozpoczęło działalność

Państwowe Gimnazjum i Liceum pod kierunkiem dyrektora Stanisława Iwanowicza. Początkowo mieściło się w budynku mieszkalnym przy ul. Boh. Stalingradu Nr 55, potem dopiero przeniesiono do obecnego budynku przy ul. Dygańskiego 14. Szybko powstały szkoły zawodowe: szkoła rolnicza, liceum pedagogiczne dla wychowawczyń przedszkoli, szkoła budowlana i ekonomiczna.

Specyficzne położenie Lęborka spowodowało, że zaraz po wojnie miasto to stało się zbiorowiskiem ludzi z różnych stron. Byli tu Kaszubi, repatrianci z wileńszczyzny i „zza Bugu”, przybysze z różnych stron Polski, ludzie różnych narodowości, którzy wracając z obozów czy robót w Niemczech zatrzymywali się w Lęborku i często zostawali. W pierwszych latach po wojnie społeczeństwo Lęborka było niejedolite pod wieloma względami, co miało ujemny wpływ na procesy integracyjne stabilizowania życia. Szczególnie boleśnie odczuwały to dzieci. Jednak czas jak zwykle zrobił swoje i dziś już nikt niemal nie pamięta tych konfliktów i śpieć między różnymi grupami.

Nie ulega wątpliwości, że jednym z najważniejszych czynników integrujących tamtą społeczność było szkolnictwo. Wychowywanie dzieci we wzajemnym poszanowaniu, równości i lojalności, skupianie rodziców wokół szkoły i jej spraw, a wreszcie niebywały entuzjazm tamtych lat — wszystko to sprzyjało tworzeniu coraz bardziej jednolitej i zwartej zbiorowości.

Wspominając tamte czasy, szperając w kronikach i innych dokumentach, odnajduję wiele nazwisk pionierów polskości na tych ziemiach. Jednych spotykam często na ulicach Lęborka, inni opuścili Lębork i pewnie wspominają nasze miasto jako mniej lub więcej ważny fragment ich życia. Wielu odeszło już na zawsze.

Jest sprawą wyjątkowej wagi, aby przeżycia tamtych dni utrwalić i rozpowszechnić. Są to bowiem nie tylko ciekawe wspomnienia ale i doskonała lekcja historii najnowszej.

JERZY MAZURKIEWICZ

...Co się słyszało i widziało na drodze z kapliczką

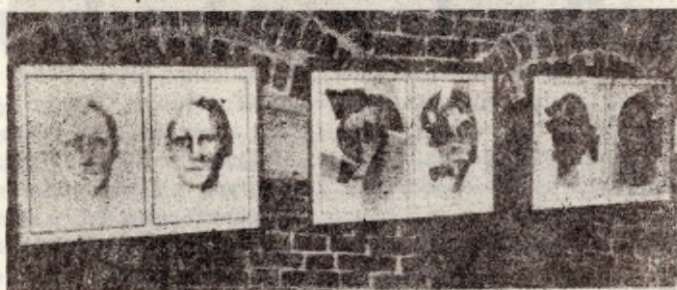
to się jeszcze okaże, natomiast wedle *Dziejów literatur europejskich*, których tom drugi, a część pierwsza, wyimprimowana przez PWN, jest akurat na półkach księgarskich, już się okazało, że literatury belgijskiej po prostu nie ma. A nie ma dlatego, iż Królestwo Belgów jest dwujęzyczne: Wallonowie mówiący i piszący po francusku i Flamandowie mówiący i piszący językiem „Nederlads” czyli niderlandzkim, którego zresztą używa się również na obszarze Holandii. W Polsce terminologia językowa dotycząca tego obszaru, więc Belgii i Holandii, jest absolutnie dowolna, błędna i w dodatku niekonsekwentna, bowiem wymiennie używa się określeń: język holenderski, niderlandzki i flamandzki. Oczywiście istnieją pewne uwarunkowania historyczne tego stanu rzeczy, o których, trudno rozwodzić się w felietonie poświęconym zresztą pewnej wybitnej książce, nie sposób jednak przejść nad kwestią właśnie językową do porządku dziennego. Otóż *Dzieje literatur europejskich* dokonały literackiego rozbioru Belgii, o czym Redakcja informuje czytelników z doskonałą beztrząsą: „*Literatura belgijska w języku francuskim (głównie Wallonów) została omówiona w t. I niniejszej publikacji przy Literaturze francuskiej...*” Stąd też Luis Paul Boon, jeden z najwybitniejszych pisarzy belgijskich i europejskich drugiej połowy XX wieku, znalazł się w dziale, pióra Jana Hendrika Rijpma (nb. Holendra), noszącym tytuł: *Literatura holenderska i flamandzka*. Jeszcze raz, niestety, potwierdza się stara prawda, że historycy literatury swoje, a literatura i pisarze swoje. O Boonie bowiem wzmianka ledwie ośmio wierszowa, sprawiająca wrażenie całkowicie przypadkowej: ot, nazwisko, które skapnęło z pióra J. H. Rijpma. Chociaż, chociaż należy oddać sprawiedliwość Holendrom, którzy publikowali utwory Boona, gdy jego twórczość spotkała w Belgii druzgocząca krytyka: zarzucono mu m. in.: zuchwałość, dekadencję, „spazmy wstrętu i cynicznego sarkazmu”, wulgarność i chaotyczny krzyk rozpaczy (Arthur Kamiel Rottiers na łamach dziennika *Het Handelsblad*, w 1974 r.). W dwa miesiące później, rzecz chodzi o książkę Boona *Mijn kleine oorlog* (*Moja mała wojna*), wybitny pisarz i krytyk holenderskiego dziennika, Karen Leroux pisze: „*Otrzymaliśmy skondensowaną gorycz i sarkazm, ale także ludzką dobroć najczystszej gatunku i prawdziwą poezję. Boon rozwija tu w najwyższym stopniu swój niezrównany talent wydobywania tragizmu z każdej sytuacji za pomocą minimum słów, tragizmu, który chwytą czytelnika za gardło*”. Cóż, nikt nie jest prorokiem we własnym kraju, więc piszący po niderlandzku, mieszkający w Eredebodegemu koło Aalst (gdzie się urodził), w połowie drogi między Brukselą a Gandawą, Luis Paul Boon, w latach pięćdziesiątych wydaje w amsterdamskim wydawnictwie „De Arbeiderspers” swoje dwie największe książki: *De Kapellekensbaan* (*Droga z kapliczką*) i *Menuet*, które natychmiast wywołują wrzawę w kołach literackich: szok, oburzenie i zachwyt. Końcem ubiegłego roku ukazała się w doskonałym, arcydzielnym przekładzie Ryszarda Pyciaka, wspaniała powieść Boona, właśnie *Droga z kapliczką*. Jest to trzecia, po *Zapomnianej ulicy* i *Menuecie*, książka tego pisarza, dzieło, które „oznaczało wielką odnowę powieściopisarstwa niderlandzkiego”. Pamiętajmy wszak, że dzieło to ukazało się w latach pięćdziesiątych, a więc w czasie, gdy we Francji zaznawała słodyczy sławy tzw. Grupa 40, więc pisarzy *nowej fali* powieści francuskiej z A. Robbe-Grillem i Nathalie Sazzaute na czele, w czasie więc, gdy mało kogo można było czymkolwiek zadziwić. Luis Paul Boon zadziwił! Napisał książkę nie

podobną do niczego, co do jej wydania stworzono w literaturze europejskiej. Boon zresztą nie nazywał *Drogi z kapliczką* powieścią, lecz czymś jako *een plas, een zee, cen chaos* (jezioro, morze, chaos), coś rozlewnego więc, migotliwego, tajemniczego i żywotnego. *Droga z kapliczką* skonstruowana jest na zasadzie powieści szkatułkowej, ale przy bliższym przepatrzeniu struktury fabularnej, zasada okazuje się dość chwiejna, jest tylko ramą, zresztą niejasną i raczej abstrakcyjną. *Droga z kapliczką*, to dosłownie droga z kapliczką w Ter-Muren, którą chodzą ludzie żyjący na początku XIX i w latach pięćdziesiątych XX wieku. Jest ta droga świadkiem dziejących się na niej wydarzeń, podobnie jak kapliczka; dzieje i losy ludzi związani są z tą drogą i z tym miasteczkiem. Kanwą natomiast utworu jest pisanie powieści o „dziecięcych losach ondynki (...) która zakochała się w panu achillesie derenancourt, dyrektorze przedziału filatura, ale która na końcu książki wyjdzie za mąż za wzbudzącego litość oskarka... o jej bracie walerku-tralerku, z olbrzymią głową, która kotłowała się w tę i wewtę, i o panu brysie, który sam o tym nie wiedząc, był jednym z 1-szych socjałów... o jej ojcu vaporeurze, który przy pomocy swej bezbożnej maszyny chciał uratować świat(...) Ale wśród tego i oprócz tego jest to też książka, której akcja rozgrywa się dużo później, w nam współczesnych, dzisiejszych czasach(...) Autor powieści, w miarę jak postępuje praca nad powieścią, czyta jej fragmenty swoim przyjaciołom: mossieu colsonowi z ministerstwa, malarce tippetotje, johanowi janssensowi, dziennikarzowi gazety codziennej, prof. drowi kpiydomowi i mec. pinakowi, którzy spierają się z nim, podrzucają pomysły, wariacje losów bohaterów, z których autor korzysta, albo nie. W czym zatem to oszalamiające nowatorstwo *Drogi z kapliczką*? W tym, że imiona i nazwiska pisze się z małej litery? Ależ nie, rzecz to znana od dawna! podobnie jak struktura powieści szkatułkowej. Nowatorstwo, jak sądzę, tkwi w szerokiej, ogarniającej półtora wieku, panoramie miasteczka Ter-Muren (ter-muren!) i jego społeczności, w realnym, choć nie realistycznym, opisie świata prostych ludzi, w nałożeniu na siebie klisz przeszłości i teraźniejszości, historii i dnia bieżącego. Ten prosty zabieg pozwala nam oglądać całościowy obraz społeczeństwa małego miasteczka z kilku jednocześnie perspektyw, wzbogacony plastyką opisu, barwą języka i głęboko brzmiącym humanitarnym tonem. Boon opowiada o społecznym dojrzewaniu ludzi, o przechodzeniu, powolnym, ale uporczywym, od świata rzeczy do świata idei, o „wstępowaniu i zstępowaniu socjalizmu”, o krachu mieszczaństwa i potędze szarego, zwykłego człowieka. *Droga z kapliczką* jest mistrzowsko skonstruowaną historią społeczeństwa żyjącego najpierw w enklawie, a później szukającego dróg wyjścia na zewnątrz, poza Ten-Muren, czyli mówiąc inaczej poszukującego tożsamości z dziejami całej Flandrii, Europy, a może nawet świata. Życie indywidualne, postuluje Boon, realizuje się tylko i wyłącznie w zbiorowości, jest widoczne tylko na tle całego społeczeństwa. Każda postać *Drogi z kapliczką*, każde ludzkie istnienie, jest ważne; nie ma tu bohaterów pierwszo- i drugoplanowych. Dlatego napisałem, że ramy tej ogromnej powieści są chybottliwe, płynne, rozmażane, a jedynie spójne są ludzkie losy. Luis Paul Boon stosuje technikę collage'u: buduje rzecz z fragmentów, strzępków, ważnych i nieważnych zdarzeń i sytuacji, główny wątek — pisanie historii ondyny — zanika, to znów wyostrza się i nabiera blasku w toku przyjacielskich dyskusji. Z tym wszystkim *Droga z kapliczką* nie jest jednak powieścią o pisaniu powieści, mimo, że jest nią także. W tym miejscu, aż prosi się, uwaga małeńka taka: warto by przyjrzeć się *Miazdze* Jerzego Andrzejewskiego z perspektywy właśnie *Drogi z kapliczką* Boona, różnicom i podobieństwom; moim zdaniem byłaby to wcale interesująca praca dotycząca wpływoologii... chociaż, czy ja wiem? *Droga z kapliczką* Luisa Paula Boona należy do tych książek, które się nie tylko czyta, ale nad którymi się rozmyśla.

ANDRZEJ TURCZYŃSKI

Luis Paul Boon, *Droga z kapliczką*, tł. R. Pyciak, Czytelnik, 1982.

...Co się działo i widziało



W salonach wystawowych

Mistrz Tymon i inni



Fot. Jan Maziejuk

Nie da się inaczej zaanonsować tych dwóch pokazów plastycznych. Pierwszy wyraźnie odstaje bowiem poziomem od drugiego. Nie dlatego żeby szesnastka współ-

autorów najnowszej, styczniowo-lutowej wystawy w galerii BWA proponowała dzieła mierne, dalekie od doskonałości. Po prostu autor dzieł w ekspozycji zorganizowanej w

ub, miesiącu w Zamku Książąt Pomorskich jest klasą dla siebie, jednym z najwybitniejszych przedstawicieli współczesnego malarstwa polskiego. Słowem —

„TYMON”

i jego twórczość to osobny rozdział polskiego malarstwa. Pozostawił po sobie imponujący dorobek: 370 realizacji plastycznych, głównie płócien, które są ozdobą niejednego muzeum, galerii, prywatnych zbiorów.

Tymon Niesiołowski (1882—1965) jako student na krakowskiej Akademii obracał się w kręgu Przybyszewskiego, utrzymywał zażyłe kontakty z Kasprowiczem, pozostawał wreszcie pod przemożnym wpływem swoich wielkich mistrzów: Mehoffera i Wyspiańskiego. W takich warunkach poznawał tajniki modernizmu i symbolizmu w sztuce, nie obcy był mu awangardowy kubizm i formizm czy późniejsze ugrupowanie „Rytm” — nic już z awangardą nie mające wspólnego. Ale on, chłonny wszelkich przejawów sztuki, poznawał jej najgłębsze tajniki. Darczył np. sentymentem Picassa, czemu dał wyraz w kilku „picassowskich” aktach. Tuż przed wojną zbliżył się do postimpresjonizmu i koloryzmu ale zawsze traktował modne prądy w sztuce wyłącznie jako źródło inspiracji w poszukiwaniu czy raczej polaryzowaniu własnej drogi twórczej, zindywidualizowanej wizji świata.

Wizja ta sprowadzała się od samego początku do ładu, harmonii, pogody ducha. Dlatego Niesiołowski nigdy nie zaakceptował wewnętrznie ani „światobórczości” ideologów cyganerii Młodej Polski, ani wrzaskliwego pustostłowia różnej maści awangardystów, ani też egzystencjalistycznych rozterek i niepokojów Gauguina.

Hołubił spokojną, klasycystyczną kadencję rytmiczną, malarstwo ułożone i wyciszone, twórczość będącą upostaciowaniem szczególnej, arkadyjskiej ponad-harmonii ludzkiego bytowania na modłę Giotto czy Chavannesa. „Zadaniem obrazu jest dawać uczucie spokoju w oderwaniu od codziennej rzeczywistości” — tej dewizie dochował wierności i w okresie przedwojennych „potyczek” malarskich we Lwowie, Krakowie, Zakopanem, Wilnie i w czasie wojny — kiedy „prawie nic mu nie wychodziło, a może w ogóle kończył się jako artysta” i w la-

tach (1945—1965) największej hossy — za profesury na Uniwersytecie im. Mikołaja Kopernika w Toruniu, i w ostatnich miesiącach życia, które spędził przy sztaludze owładnięty niemal kompletną ślepotą...

W Toruniu dojrzała w pełni osobowość twórcza Niesiołowskiego. Malował tam — jak zwierzył się w swoich „Wspomnieniach” — pasjami. Powstawały — jeden za drugim — czułe i zachwycone akty kobiece, martwe natury — bukiety kwiatów w pękających dzbanach, portrety, postaci clownów. Obrazy sterylnie czyste, starannie wyważone, emanujące ciepło i spokój, ujmujące widza zadziwiającą wręcz prostotą.

Nazwie „Tymon” (takim podpisem opatrywał swe płótna) toruńskie dwudziestolecie najszcześliwszym w swoim życiu. Musiało tak być. Wstąpił bowiem w Niesiołowskiego w Toruniu przysłowiowy artystyczny demon. Tworzy bez chwili wytchnienia. Najwyraźniej delektuje się obcowaniem z materią przedmiotu, rozpiera go wprost zmysłowa, epikurejska rozkosz bawienia się wysublimowaną kreską. Zwłaszcza wtedy, gdy zaczyna mocować się z okrutnym kalektwem i stara się ubiec nadciągającą nieuchronnie śmierć...

„Ta bujność, radość malowania — powie o tym okresie w życiu „Tymona” Joanna Pollakówna — sprawia, że niektóre obrazy Niesiołowskiego wydają się jak gdyby przeładowane, zbyt wielomówne. Że łakomie wszystko w nich usiłuje pomieścić: i miękko malowany brązowawy akt dziewczyny i martwą naturę w misie, i trudną do zharmonizowania wielorakość barwnych płaszczyzn. Ale jest to łakomstwo smakosza, znawcy sztuki malowania, miłośnika wielkiego malarstwa europejskiego, który nie waha się przed parafrazą „Śpiącej Wenus” Giorgione („Akt leżący”), którego stać równocześnie na kompozycje ciche i lakoniczne, np. niektóre z pięknych martwych natur czy portrety. Bo i w ciszy malarskiej, w ascezie kryje się radość malowania. Może właśnie w mistrzostwie ostrożnie i trafnie uchwyconego tonu ukrywa się radość największa...”

Wypada jedynie pogratulować kierownictwu Muzeum Pomorza Środkowego, że — dzięki życzliwości dyrekcji Muzeum Narodowego w Warszawie — udało się urządzić w Zamku Książąt Pomorskich prezentację dorobku warsztatowego malarza tej klasy

co Tymon Niesiolowski. I to pokaz specjalny, bo przygotowany z okazji setnej rocznicy urodzin wielkiego artysty.

Parę refleksji i uwag na marginesie pokaz w salonie wystawowym BWA.

ŚWIAT WIDZANY PRZEZ PRYZMAT WYOBRAŹNI I EMOCJI

Tak można by scharakteryzować — w największym skrócie — twórczość malarzy i grafików reprezentujących nurt fantastyczno-metaforyczny w sztuce. Ma on w światowej i polskiej plastyce dość bogatą tradycję. Za jego „ojca duchowego” uważa się powszechnie niderlandzkiego mistrza malarstwa sztalugowego z przełomu XV/XVI wieku — Hieronima Boscha, autora fascynujących po dziś dzień obrazów olejnych: „Leczenie głupoty”, „Ogród rozkoszy”, „Statek głupców”, „Śmierć skąpca”, „Kuszenie św. Antoniego”. Kolejną „sztandarową” postać w dziejach fantastyki i metaforyki plastycznej zwykło się upatrywać w „demonie z Quinta del Sorgo”, prekursorze XIX-wiecznego romantyzmu, hiszpanie Francisco Goyi Lucientesie.

Do nich nawiązywali później polscy romantycy (Grottger, Rodakowski, Michałowski), nabiści i symboliści (np. Malczewski) oraz kontynuatorzy symbolizmu w nieco zmodyfikowanej formie — secesjoniści (Wojtkiewicz, Mehoffer, Wyspiański, Ruszczyk), określający swe dzieła mianem „Sztuki Nowej”, „Nowoczesnego Stylu” lub też „Stylu 1900”. Na gruncie ich idei i programów artystycznych ukształtowała się u nas w okresie międzywojennym formacja „Młodej Polski”, której najwybitniejszymi przedstawicielami w dziedzinie kreacji malarskiej byli wspomniani już Jacek Malczewski i Witold Wojtkiewicz, a także towarzystwo pod nazwą Polskiej Sztuki Stosowanej.

Tyle gwoili wprowadzenia Czytelników w temat, który brzmi: **Fantastyka i metafora w malarstwie i grafice**. Prace 16 artystów plastyków (znajdujące się w zbiorach poznańskiego BWA), eksponowane były w Baszcie Czarownic.

Trudno zrecenzować w kilku zdaniach ten pokaz. Nie tylko ze względu na liczbę współautorów wystawy (12 malarzy, 4 grafików) oraz ilość i różnorodność udostępnionych zwiedzającym realizacji (36, w tym

27 płócien i 9 grafik). Także — a może przede wszystkim — z uwagi na fakt, iż prawie każdy z owej szesnastki twórców stanowi indywidualność wartą obszerniejszego omówienia. Dotyczy to w szczególności prac Ildefonsa Houwalta („Makieta prababki” — tempera), Antoniego Zydronia („Kompozycja” — technika mieszana), Jerzego Piotrowicza („Cisza” — olej), Eugeniusza Gabryelskiego („Popołudniowy lekki wiatr” — techn. miesz.), Bogdana Wegnera („Pajęczyny” — olej), Barbary Kosteckiej („Cerkiewna zielen” — olej), Danuty Waberskiej („Dialog” — olej), Ireny Brzozowskiej-Flieger („Uroda” — olej), Jerzego Pohla (tryptyk „Pomiędzy” — akryl), Jerzego Michalskiego („Bez tytułu” — olej), Józefa Walczaka („X” — olej), Andrzeja Karpińskiego-Tomaszewskiego („Obywatel Roman K.” — tempera, olej).

Có łączy członków tej grupy artystycznej „z przypadku”? Programowa, ostentacyjna awersja do mechanicznego odtwarzania, kopiowania natury. Wnikanie w jej istotę. „Rozszyfrowywanie” — na ile to możliwe — zjawisk niezwykłych, tajemniczych. Przedstawianie za pomocą kształtów i barw rzeczy niewyobrażalnych. Wywoływanie w nas określonych, nietypowych stanów psychicznych, nastrojów i odczuć, innymi słowy: oddziaływanie — dla nawiązania jak najściślejszego, intymnego kontaktu z odbiorcą — na naszą sferę emocjonalno-wyobraźniową. Stąd tyle u autorów troski o maksymalną ekspresyjność prezentowanych dzieł, osiąganą poprzez świadomą deformację poszczególnych elementów i jednocześnie stylizację formy całości obrazu.

Dostateczny — sędzę — asumpt do zdyskontowania wystawy w kategoriach bezspornych aktywów BWA. Główny jej atut jawi mi się jednak w zupełnie czym innym: w niekłamany humanizmie jakim tchną płótna i kartony poznańskich artystów; w osobistym, nacechowanym głębokim zaangażowaniem i żarliwością stosunku większości twórców ze stolicy Wielkopolski do najistotniejszych społecznych i moralnych problemów współczesności. Taka sztuka nazbyt rzadko pojawia się dzisiaj w salonach wystawowych, aby nie przyklasnąć inicjatywie przybliżenia jej słupszczanom.

JERZY K. LISSOWSKI

Twórcy kultury o swoich problemach

Sytuację w kulturze — ogólnie rzecz biorąc — mamy obecnie nie-najlepszą. Jest to truizm, który bezwzględnie należało już na początku artykułu zaakcentować bowiem taka jest opinia wyrażana w każdym z środowisk składających się w Słupsku i województwie na szeroki krąg twórców i propagatorów kultury. Nie oznacza ta opinia, że środowiska twórcze nie mają możliwości eksplorowania swoich talentów i bogatego niejednokrotnie doświadczenia w pracy na rzecz kultury narodowej.

Skomplikowane w swej istocie wydarzenia minionych dwóch lat wywarły na delikatnej, podatnej zarówno na aforię, optymizm jak i nihilizm tkance kulturotwórczej społeczeństwa — szczególne piętno. Do-dałbym znowu — piętno tak dalece niejednorodne w swej istocie, że... powstały warunki dla swoistej burzy mózgów charakterystycznej przecież dla dziejowych zwrotów.

Tak, w skrócie, mógłbym skomentować warstwę problemową ożywionej dyskusji mającej miejsce na zorganizowanym 28 stycznia spotkaniu twórców kultury z licznym gronem przedstawicieli władz politycznych i administracyjnych województwa. Spotkanie odbyło się w Urzędzie Wojewódzkim a w zaproszeniu — to już dla kronikarzy — nadmieniono iż jest to... doroczne... spotkanie. Oby ta zapowiedź sprawdziła się w przyszłości nie tylko w spotkaniach dorocznych, ale np. kwartalnych. I jedno i drugie ma przed sobą przyszłość.

Dokonujący merytorycznego wstępu do dyskusji kierownik Wydziału Propagandy i Agitacji KW PZPR Antoni Kustusz, oceniając dokonania i niedomogi w rozwoju kultury w województwie, wskazał na rolę jaką spełniają i winny w tym procesie spełniać poszczególne środowiska; skupione wokół swoich zakładów pracy (Słupski Teatr Dramatyczny, Państwowy Teatr Lalki „Tęcza”, Słupska Orkiestra Kameralna, Muzeum Pomorza Środkowego), oraz w gremiach składających się na grupy twórcze — przy redakcjach, placówkach kultury (WDK, miejskie ośrodki i domy kultury, placówki w gminach), oddziale Związku Polskich Artystów Plastyków, oddziale zawieszonego jeszcze Związku Literatów Polskich.

Trudna społecznie sytuacja w tych środowiskach, rozbieżność w pojmowaniu indywidualnej i zbiorowej misji twórcy — jaką winien spełniać dla swojej Ojczyzny, nie zawsze właściwie pojmowany pluralizm w tej społecznej służbie, stwarzają często brak możliwości współdziałania środowisk, rodzą tendencje odśrodkowe, separatystyczne, sprzyjające nietolerancji w różnym pojmowaniu drogi do tego samego celu.

Tym większa jest więc potrzeba przełamywania trudności siłą dobrej woli, chęcią współdziałania. Stąd nawoływania do tzw. aktywizacji społeczeństwa wokół wspólnych celów nakreślonych przez władzę przedstawicielską w Polsce. Metoda tzw. drobnych kroczków czasami okazuje się bardzo skuteczna, zmusza władzę do bardziej wnikliwego interesowania się troskami nie tylko poszczególnych środowisk ale i indywidualnych twórców stanowiących przecież o tożsamości każdej grupy zawodowej.

Wielce pouczającym, skłaniającym do refleksji, był na wspomnianym spotkaniu głos doświadczonego aktora Zbigniewa Bartosza ze Słupskiego Teatru Dramatycznego. Młody, utalentowany zespół słupskiego teatru niejednokrotnie ze zdumieniem konstatawał prawdy krzywdzące, praw-

dy ukazujące podmiotowość roli aktora skazanego na prowincji na pracę nie tylko organiczną (bo to byłby przykład godny popularyzacji) ale i „od podstaw”, w warunkach uniemożliwiających satysfakcję zawodową, utrudniających nawiązanie właściwego kontaktu z widzem. Z krzywdą dla aktora widz kształtuje sobie niewłaściwą opinię o jego pracy.

Intencją wystąpienia Zbigniewa Bartosza (co w szczegółach ukazali w dyskusji inni mówcy, m. in. dyrektor STDram. Paweł Nowicki i kierownik artystyczny Słupskiej Orkiestry Kameralnej Bohdan Jarmolowicz) było zatroskanie o rzeczywiste warunki krzewienia przez teatr swojego dzieła wśród szerokiej rzeszy społeczeństwa województwa. Istniejące w terenie kina, przy niewielkim dodatkowym nakładzie finansowym, mogły być od dawna przystosowane do pełnienia funkcji kinoteatrów. Jesteśmy jednak krajem o „wydzielonych” kompetencjach i aktorzy pragnący wystąpić w Człuchowie czy innym mieście, muszą się godzić na grę w salkach nieprzystosowanych, bez zaplecza, nieogrzanych. Muszą się godzić na przedstawianie inscenizacji niepełnych artystycznie „z konieczności”. Czy w „interesie” widza? Raczej nie. Toteż nie kwapią się z wożeniem w teren. Czy należy się temu dziwić. Czy aktorzy „winni” akceptować brak koordynacji w tworzeniu bazy kulturalnej w terenie według zasady — każdy dla siebie?

Nieproporcjonalnie wzrastające w stosunku do dotacji koszty terenowych wyjazdów, dodatkowych przedstawień — węzłem fiskalnym krepują ruchy teatrowi na prowincji. A przecież jeszcze lat temu kilkanaście funkcjonowały teatry objazdowe. Czynił to z powodzeniem Bałtycki Teatr Dramatyczny. Czyni to konsekwentnie (wymagający jednak „skromniejszych” warunków) Państwowy Teatr Lalki „Tęcza” przedstawiający swe inscenizacje w trzech województwach. Ta placówka też borykała się z problemami natury finansowej i lokalowej.

Lokale — to szczególnie rozdział w warunkach pracy wielu placówek kulturalnych w województwie. Zgodnie z zasadą — powie aktor, muzyk, dziennikarz, plastyk, literat — jeśli rzeknie „a”, rzeknij „b”. A więc — po gospodarsku sprawę traktując — przedłużanie czynności rozpoczętej szybko ją podraża. Rozpocząłeś mecenar-

sie-władzo dobudowę pomieszczeń na salę prób i przedstawień kameralnych przy gmachu teatru, szybko kończ. Zysk podwójny — tańsza budowa, szybsze efekty kulturotwórcze. Jest Słupska Orkiestra Kameralna — są potrzebne instrumenty. Wypożyczone z Zespołu Szkół Muzycznych kotły (niezbędne dla sekcji instrumentów perkusyjnych orkiestry) winny być szkole oddane. Taż grozi arbitrażem(!) i ma rację, tymczasem na sali dowiadujemy się, że wojewoda dysponuje pensum dewizowym... ale na zakupy instrumentów... lekarskich. Być może jednak — rzeknie wicewojewoda Feliks Barbarowicz — wydzieli się pewną kwotę na zakup tych **kotłów**. Po to jednak jest potrzebny pisemny wniosek, i to szybko. Więc? — zapytają wzrokiem zebrani na sali — jest administracja, która zna pilne potrzeby Słupskiej Orkiestry Kameralnej i mogła takie pismo złożyć dawno, dawno temu? Bohdan Jarmolowicz wyraźnie zadziwiony możliwością załatwienia sprawy nie wie czy już dziękować...

Przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej w Słupsku, znany działacz społeczny STSK Jerzy Bytnerowicz przypomina zebranim, że na lokale w Słupsku oczekuje z różnym skutkiem około 130 instytucji. Tymczasem udało się otrzymać na potrzeby kultury budynek przy ulicy Jaracza, w którym locum otrzymali m. in.: Biuro Dokumentacji Zabytków, FilMOTEKA Rejonowa. Ta druga placówka, od chwili jej uruchomienia jeszcze w Słupsku powiatowym, mieści się w dwupokojowym lokalu wydzielonym z mieszkania, w budynku o drewnianych stropach grożących w każdym momencie zawaleniem jeśliby pracownicy przemieścili na podłogę część z 3 tysięcznej filмотeki rozmieszczonej na regałach wkućtych w ściany nośne. A przecież ta placówka winna dysponować pomieszczeniem na projekcje cykli filmów dla szkół, instytucji. Być może kłopoty tej filмотeki wkrótce skończą się. Także teatr amatorski „Rondo” otrzyma dla swych potrzeb adaptowany kosztem ok. 10 mln zł obiekt przy ulicy Niedziałkowskiego.

Tak więc, jeśli dodamy kilka obiektów nowych i wiele zmodernizowanych w Lęborku, Uście, Sławnie, w gminach — jest to konkretny efekt poczyniń władz w województwie. Toteż „czarnowidztwo” w tej kwestii nie

jest uzasadnione pod warunkiem, że uznamy za fakt kłopoty jakie przeżywa państwo nie tylko w skali makro. Nie wolno jednak zapomnieć, że — znając sytuację — winniśmy nie ustawać w staraniach o lokal dla Klubu Związków Twórczych.

W „normalnym” mieście środowiska twórcze mają możliwość „skrzyknąć” się w „Klubie Związków Twórczych” po każdej interesującej imprezie — (premierze, wystawie), na prelekcji, na spotkaniu z przedstawicielami władz itp. itd.

Po drugie — jak się rzekło „a”... Przed laty rzekło się m. in. w imię warunków do cytowanej wyżej integracji, aktywizacji, popularyzacji, centralizacji... Potem jakoś nie mogliśmy dowieść, że niegrzecznie przypomina się nam (wypomina) dezintegrację, rozproszenie, „mafijność” ect. Owszem — proponowano nam na Klub Związków Twórczych („raz w tygodniu(!)”) kawiarnię „Czar”... no comment.

Dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego Kazimierz Swiderski bardzo rzetelnie przedstawił na tym spotkaniu warunki w jakich będą mogły funkcjonować środowiska twórcze w tym roku. Podobnie jak w latach minionych, choć w skromniejszej sprawie, będą organizowane wszystkie ważniejsze przedsięwzięcia poszczególnych środowisk, m. in. VI Słupski Tydzień Teatralny, Festiwal Pianistyki Polskiej, artystyczne plenery, Jar-

mark Folklorystyczny w Bytowie, Październik Literacki i inne.

Na działalność kulturalną (oprócz ewentualnych nadwyżek budżetowych i innych dotacji „mecenasowskich”) Wydział posiada 200 mln zł. Brakuje około 50 mln zł na fundusz płac. Około 400 tys. zł przeznaczy się na stypendia twórcze dla najbardziej potrzebujących. Poczyni się starania o większy zakup dzieł artystów plastyków miejscowego środowiska, o zabezpieczenie im zleceń na tzw. plastyczne usługi dla zakładów, instytucji. **Ważną rolę we wspieraniu działalności środowisk twórczych ma do spełnienia Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne „Porbrzeże”** kontynuujące swe zamierzenia wydawnicze wobec literatów z dorobkiem i tych, którzy poprzez witrynę tego Stowarzyszenia mają szansę opublikowania pierwszych zbiorów swojej twórczości. Wiadomo bowiem, że możliwość debiutu w wydawnictwach profesjonalnych jest aktualnie, zwłaszcza w dziale (deficytowej!) poezji — utrudniona, wręcz bez perspektyw. Artysty plastycy mają swój twórczy udział w tych publikacjach dostarczając własne grafiki, projekty opracowania graficznego. Należy poprzeć starania plastyków o pomoc władz w zabudowaniu (przeszklenie) dolnej części Nowej Bramy, w której podcieniu można stworzyć pomieszczenie dla galerii sztuki, z możliwością sprzedaży dzieł. Koszt niewielki a pożytek ogromny.

Tak więc spotkanie twórców kultury przyniosło korzyść nie tylko przedstawicielom władz — pod adresem których padało wiele wniosków. Gremium bardzo reprezentatywne wzajemnie uświadomiło sobie potrzebę częstszych wspólnych spotkań — w imię porozumienia, dyskusji nad wspólnymi sprawami a nawet... tworzenia wielośrodowiskowej opinii na temat wspólnych nam i pilnych do załatwienia problemów. Niewiele bowiem dadzą roztrząsania kwestii ważkich ale z osobna w teatrze jednym, drugim, w orkiestrze, redakcji, wśród plastyków, w muzeum i in. Wreszcie — a to też istotne — tylko we wspólnym gronie można dać odpór tendencyjnym, krzywdzącym opiniom propagowanym o... „środowiskach twórczych takich i owakich” bo... każdy chadza swoją ścieżyną.

Tak więc — ukłon dla władz za spotkanie i zainicjowanie dyskusji. Jeszcze większy ukłon za „nasze” miejsce do permanentnych spotkań, na które będziemy zapraszać WAS, drodzy decydenci we wspólnym naszym interesie.

JERZY DĄBROWA

Losy dwóch kobiet nauczycielek

„Chwilami wydaje mi się, że moje nauczycielstwo jest tylko dobrze odegraną komedią, że chodzę na lekcje jedynie po to, by pierwszego pensję otrzymać, że jestem dobrze nakręconym zegarem, który kołaczę ciągle, bo go w szkole nakręcono. Nieraz, gdy obejrzę się za skutkami mej pracy, nie widzę ich nigdzie. I to do rozpaczki mnie doprowadza. Wtedy uważam siebie i zajęcia swoje za nieużyteczny i zbytkowy dodatek do książkowego abecadła”.

Jest to wyznanie młodej nauczycielki, Heleny Walickiej, poczynione w rozmowie z kolegą, także nauczycielem-korepetytorem do pewnego czasu, Kazimierzem Zaliwskim. Oboje są głównymi bohaterami znanej książki Wacława Berenta „Fachowiec” wydanej w 1895 roku, niemal równocześnie z „Opowiadaniem” Stefana Żeromskiego, zawierającymi „Siłaczkę”. Porównanie obu bohaterek jest zastanawiające.

Z punktu widzenia realizmu XIX wieku bohaterka Berenta jest prawdziwsza, bo szerzej ukazana w warstwie życia osobistego i uwikłań społecznych. Wiadomo, że pochodzi z rodziny majstra fabrycznego, maniaka, próbującego zbudować „cudowną maszynę”. O pochodzeniu Stasi Bozowskiej niczego nie wiemy. Żeromski ułatwia sobie w ten sposób sprawę, nie tłumaczy bowiem społecznym i osobistym uwikłaniem czynu Stasi — podjęcia pracy na wsi. Obie nauczycielki pragnęły studiować w Szwajcarii: „...Ukończyła gimnazjum, dawała lekcje, miała zamiar jechać do Zurychu czy Paryża na medycynę, nie miała grosza przy duszy...” (Żeromski). „Wie pan, zeszłego roku wybierałam się na uniwersytet do Szwajcarii. Skończyło się to, rozumie się na niczym: ojciec słyszeć nawet nie chciał. Wtedy myślałam zostać akuszerką” (Berent). Helena pragnie czynu, nie tylko wiedzy wyższej, skoro nie może jej osiągać, podobnie Stasia.

Helena dostrzega jednak niemoc wynikłą z pracy nauczycielskiej, niewymierność jej efektów, czego nie ma w „Siłaczce”. Po tragicznej śmierci też jedzie na wieś, lecz tam znajduje opiekę swej ciotki. Wkrótce jednak przybywa do Warszawy i jest nadal nauczycielką. Wydaje się przez to mniej bohaterska, ale za to prawdziwsza, realniejsza. Stasia żyje jakby była całkowicie sama na świecie, bo korespondencja z koleżanką nie zmniejsza wiele tej samotności. Odrzuciła propozycję małżeństwa z Obareckim i znika gdzieś w guberni podolskiej. Sytuacja Heleny w tym względzie jest inna. Ma dwóch adoratorów i przyjaciół: zdolnego studenta Zanicza oraz tragicznego rozparzeńca w zakresie wiedzy — Kazimierza Zaliwskiego. Porzuca on pracę nauczycielską pod wpływem przejęcia się innym hasłem pozytywistów o konieczności pracy organicznej, realnej. Idzie więc do pracy w fabryce, która wkrótce powoduje jego ośpienie i niemożność powrotu do poziomu umysłowego i kulturalnego, uzyskanego po ukończeniu szkoły średniej. Kiedyś błyskotliwy, równorzędny partner w rozmowach z Zaniczem, staje się śmiesznym oponentem, nie umiejącym argumentować i sprostać na odpowiednim poziomie sytuacjom towarzyskim. Ostatnim jego argumentem jest użycie siły wobec Zanicza i ukochanej Heleny. Miłość do niej przeradza się wręcz w nienawiść. Kazimierz całkiem deklasuje się umysłowo, schodząc do poziomu kolegi robotnika — Andrzeja. Po latach staje się majstrem postusznym i uniżonym wobec swego dyrektora. Tłumaczy sobie, że Helena nie chce wyjść za niego ze względu na braki umysłowe i prymitywizm. Mówi on: „Zanicze dość długo grzebali w moim mózgu, dosyć długo pracowała nad nim maszyna, dość długo namęczyła się panna Helena... aż póki powoli i niepostrzeżenie nie wyjęto

mi wszystkiego, pozostawiając akurat tyle, ile potrzebuje maszyna". Przy różnicach występuje tu podobieństwo w degradacji byłego nauczyciela Kazimierza i doktora Pawła Obareckiego. Obaj stracili wiarę w możliwość autentycznego, osobistego czynu.

Tacy więc byli adoratorzy nauczycielek Stasi i Heleny, różni od siebie ale także podobni. Przy czym Stasia po wyjeździe nigdy już nie spotkała się z doktorem Pawłem, bo zapewne nawet tuż przed śmiercią nie mogła go rozpoznać. W tym względzie więc była postacią bardziej tragiczną niż Helena. Kazimierz mówi o Zaniczu i Helenie: „...oni nauczyli mnie, że czyn jest lepszy od słowa. Oni jednak muszą kruszynę swej wiedzy jak kura jaje obnosić. Mają przy tym odpowiedni wyraz, mowę, ruchy: całą dekorację człowieka z inteligencji”. „...Żyłem ich słowem, ich myślą, ich teorią, książkami, głupotą — wszystkim, wszystkim. Nawet ruchy ich i mowę malpowałem ku dobremu społecznemu”. Obarecki nad umarłą Stasią mówi — głupia byłaś. Tak żyć nie tylko nie można, ale i nie warto. Zjedzą cię idioci i odprowadzą na powrozie do stada, a jeśli im się oprzesz, to zginiesz.

Inne były przyczyny i skutki „odprowadzania do stada” w przypadkach Stasi i Kazimierza. Stasia nie analizuje swego losu, co czyni bohater Berenta. Obarecki nie usiłuje odnaleźć Stasi; spotyka ją przypadkiem, gdy już jej nie może uratować. Natomiast Kazimierz, obecny ciągle obok Heleny, niszczy w sobie miłość do niej z przyczyny bolesnego odczuwania swej degradacji. Helena jednak podobnie jak niegdyś Stasia uważała, że kobieta winna mieć wśród mężczyzn przyjaciół. Obie nie myślały o zamążpójściu. „Siłaczkę” nazywano darwinistką i zaczytuje się ona w Spencerze. Helena zaś czytała Wundta, Hegla i Marksa.

W losach wszystkich tych bohaterów występuje jedna kwestia — mają zbyt mało wiedzy, żeby być inteligentami na poziomie zgodnym z pragnieniem, a zbyt dużo jak na potrzeby pracy, którą wykonują (dotyczy to także do pewnego czasu Kazimierza). Niestety chce, jak pisze Berent, że oni się nie jednoczą, ale stroną od podobnych sobie wynajdując różnice w poziomie. Byli nauczycielami w podwójnym sensie. Nie tylko dlatego, że nauczali dzieci, lecz także dlatego, że „uczili” całe społeczeństwo. Zostali jednak ukazani wyłącznie w tym drugim wymiarze. W obu utworach nie ma obrazu szkoły i dzieci czy młodzieży. Niemożliwe zaś było szukanie przyczyn klęski bohaterów w fakcie braku niepodległego państwa ze względu na cenzurę zaborców. Helena nie jest bohaterska, co oczywiście wynika z tekstu. Prawie od początku przystosowuje się do istniejącego stanu rzeczy w społeczeństwie. Los jej nigdy nie funkcjonował żywo w społeczeństwie polskim w przeciwieństwie do losu Stasi-Siłaczki, o której wiele pisano i mówiono publicznie jako o bohaterce społeczniczej, poświęcającej się w pracy dla ludu. Tworzono w ten sposób fałszywy mit rozpowszechniany szczególnie wśród nauczycieli i podawany do wierzenia młodzieży szkolnej. Stasia zaś poszła uczyć na wieś z braku pieniędzy na studia, czyli z konieczności nie zaś dla realizacji szczytnego hasła pozytywistów — pracy u podstaw czyli wśród ludu. Ewentualnie mogłaby się zapewne urządzić tak jak Helena, ale Żeromski nic o tym nie pisze. Zresztą wtedy nie byłoby nawet cienia podstaw do przedstawiania jej jako wzorca i społeczniczki.

Jest tylko jeden fakt w życiu Stasi mogący dawać podstawy do sądzenia, że dokonała czynu o charakterze społecznikowskim, a mianowicie napisanie podręcznika „Fizyka dla ludu”. Pomijając niejasność a nawet dziwaczność tego tytułu, trzeba sobie uzmysłowić, że lud ten mógłby z niego korzystać pod warunkiem, że umie czytać. Wiemy natomiast, że w przybliżeniu około 80 procent tego ludu żyło w analfabetyzmie. Praktycznie więc Stasia mogła głównie uczyć czytania i pisanie. W tych warunkach pisanie swego podręcznika było dla niej swego rodzaju osobistą potrzebą, jeśli nie koniecznością, odskocznią od tego poziomu pracy umysłowej w jakim się obracała wśród dzieci chłopskich, pragnieniem wykorzystania choć części swej wiedzy marnującej się przecież bezpowrotnie. Wydanie takiego podręcznika stawiałoby ją w rzędzie inteligencji wyższego poziomu. Tak więc i tu akt o charakterze społeczni-

kowskim (podręcznik miał jednak służyć ludowi) jest związany z celami osobistymi, co nie pomniejsza jednak społecznikowskiego charakteru tego czynu lecz go modyfikuje. Po prostu Stasia nie pisała tego podręcznika wyłącznie dla spełniania ideałów. Żeromski też o tym nie pisze, lecz znając ówczesne stosunki społeczne i przymusowy los bohaterki, możemy to sobie z całą pewnością uzmystowić. W każdym bądź razie nie jest to dowód na poświęcenie się bohaterki utworu. Zresztą Żeromski słowem nie wzmiankuje, że była ona bohaterką-wzorem, czy też że się poświęcała. Trzeba być też na tyle realistą, żeby wiedzieć, iż Stasia za wydanie podręcznika otrzymałaby honorarium, które być może umożliwiłoby jej wyjazd za granicę na studia.

Należy się jeszcze zastanowić nad tym, czy słowa Obareckiego wypowiedziane nad umartą nauczycielką — tak żyć nie można i nie warto — stanowią potwierdzenie, że było to jednak poświęcenie się bohaterki opowiadania? Trzeba tu przypomnieć, że Obarecki już wtedy zrezygnował z ideałów a nawet stał się cyniczny. Z tej pozycji uznał Stasię za głupią, w czym się zresztą mylił. Przystosował się do Obrzydliwskich półgłówek. Poza tym tyfus był wtedy chorobą dość powszechną i zdarzał się także wśród dobrze sytuowanych. Tak czy owak był to więc przypadek. Oczywiście w warunkach życia Stasi zdarzał się częściej. Idzie tu Żeromskiemu o wskazanie na winę Obareckiego. Losu Stasi na pewno nie polecał jako przykładu do naśladowania ani też wzoru poświęcenia się. Oprócz tego istniała zawsze (dzisiaj też) różnica między lekarzem a nauczycielką. Lekarz bowiem miał i ma wyższy status i pozycję społeczną, po prostu zarabia więcej niż nauczyciel. On się dobrze urządził, ona nie miała na to szans. Z tego punktu widzenia nazywanie jej głupią jest tym bardziej przejawem nie tylko zdrady przez Obareckiego ich młodzińskich ideałów, lecz jego cynizmu. Po śmierci Stasi sumienie w nim się odezwęło, kiedy nakazał, żeby umartę pod głowę wiórow tylko nastać.

Siłaczka stała się symbolem szczególnie propagowanym w latach sześćdziesiątych, kiedy społecznikowość stała się modne i potrzebne. Właśnie wtedy na łamach Tygodnika Kulturalnego występowałem wielokrotnie przeciwko takiemu społecznikowstwu, które przy małych efektach prowadzi do samounicestwienia społecznika. W publikacji wspomnień nauczycieli znalazłem i taki przykład, że pewna nauczycielka, ciężko chora, leżąc w szpitalu, kazała sobie sprowadzać do swego łóżka bolesci uczniów, żeby ich douczać, oczywiście nie żądając zapłaty. Tu właśnie nawet Obarecki miałby rację, gdyby powiedział, że tak żyć nie trzeba i nie można. Poświęcenie jest wtedy potrzebne kiedy — niezastąpione. Można więc uznać, że podany tu przykład był przejawem swego rodzaju choroby pewnej grupy nauczycieli, od której słusznie odeszli nauczyciele dzisiejsi.

Trzeba jeszcze koniecznie wrócić do samego faktu, że Stasia poszła uczyć na wieś. Kto zna ówczesną literaturę, wie dobrze, jak trudno było znaleźć nawet korepetycję w większym mieście, nie mówiąc o Warszawie. A tak wiele młodych szlachcianek i dziewcząt po gimnazjach poszukiwało pracy. Naturalnie każda wolalaby pracować w mieście niż na wsi, gdzie dużo łatwiej było znaleźć pracę w jakiejś szkółce. Na wsi też łatwiej się było utrzymać a nauczyciel tam był wyżej ceniony niż w mieście. Stasia była mądrą dziewczyną i nie mogła tego nie brać pod uwagę. Dzisiaj zresztą jest podobnie. Trudno o pracę nauczycielską w mieście a łatwo na wsi i w dodatku nauczyciel wiejski zarabia dużo więcej niż miejski.

Przedstawione tu dwa losy kobiet-nauczycielek pobudzają do ogólniejszych refleksji. Czas się na tyle zmieniły, że los nauczycielki wiejskiej nie jest obecnie tragiczny a wręcz wygodniejszy, niż tej, która pracuje w mieście. Mimo tego nadal brakuje nauczycieli na wsi, gdzie warunki są bardziej prymitywne a los młodej dziewczyny szczególnie skomplikowany. Los Siłaczki utracił swój walor wzorca, a dzisiejsza nauczycielka wiejska powinna być osobą atrakcyjną i nie powinna się w niczym poświęcać lecz być dobrym fachowcem i kierować się zasadą Tadeusza Kotarbińskiego — fachowości i dobrej roboty.

LESZEK BAKUŁA

Dyżurny

Przede wszystkim — pomyślniejsze i coraz liczniejsze sygnały od Czytelników z województwa. Dzięki większej uwadze kolportera-monopolisty (Przedsiębiorstwa „Ruch”) zaczęto dostarczać „Gryfa” także do wiejskich klubów i kiosków. Efekt? Wiadomy. Powiększyła się znacznie i tak już liczna grupa współpracowników. Dziękujemy za uwagi, liczymy na dalsze — to nam pomoże czynić nasze łamy użytecznymi dla szerokiego grona odbiorców. Panu T. L. z Lęborka potwierdzam, iż rzeczywiście mamy zamiar kontynuować reprodukcję herbów miast Ziemi Słupskiej na okładce „Gryfa”. W przyszłości więc stały Czytelnik będzie mógł sobie z okładek zszyć... album znaków miast. Wyczerpiemy te znaki, mogą być pomorskie pieczęcie itp. Pomysł można udoskonalać.

Numer marcowy akcentujemy 38 rocznicą wyzwolenia Ziemi Słupskiej — przywróconej po wiekach Macierzy. O historycznych uwarunkowaniach skomplikowanych stosunków Pomorza i Polski w XIII i XIV w. — pisze w drugim odcinku szkicu dr Barbara Popielas-Szultka. Zakończenie tego interesującego szkicu w numerze następnym. Natomiast o pierwszych dniach wyzwolonego Sławna i Lęborka — interesujące fakty z organizowania placówek oświatowych, kulturalnych — pióra Leszka Masiukiewicza i Jerzego Mazurkiewicza. Akcent sławieński — to także sylwetki: twórcy ludowego i czerwonoarmisty. Natomiast Leszek Bakula publikuje swoje opowiadanie o Platerankach i ich wsi Platerówka.

Pomysł publikowania na drugiej stronie okładki ciekawego wiersza — udał nam się. Z wdzięcznością przyjęliśmy korespondencję od Stefana Fikusa — znanego w Lęborku kaszubskiego poety, dramaturga, autora gódek (gawęd), którego twórczości sporo miejsca poświęcono w *Historii Literatury Kaszubskiej* opublikowanej w 1981 roku. Stefan Fikus, rodem z Luzina, we wrześniu 1939 roku dostał się (jako żołnierz 16 Pułku Ułanów Wielkopolskich) do niemieckiej niewoli i wojnę przeżył w obozach oraz na robotach przymusowych. Od 1945 roku mieszka w Lęborku. Z nadesłanych wierszy wybraliśmy utwór, w którym poeta nawiązuje do spraw wojny jako powszechnego zagrożenia dla człowieka.

Rozpoczynamy ten numer „Gryfa” artykułem Antoniego Kustusza poruszającego sprawy nas wszystkich obowiązujące — codzienne, „Jak Cię widzą tak Cię piszą” — nadmieniam autor w podtytule publikacji o potrzebie „wielkich porządków”.

Andrzej Turczyński tym razem wytyka w swych „Głosach i powidokach” niekonsekwencję autorom tomu drugiego, części pierwszej „Dziejów literatury europejskiej”, a Jerzy Lissowski omawia m. in. wystawę dzieł Tymona Niesiołowskiego. Piszemy także o najistotniejszych momentach dyskusji na temat roli środowisk twórczych, o zadaniach instruktora muzycznego. Słowem — dla każdego coś do przeczytania. Sygnalizuję na zakończenie, spełniając życzenie Czytelników, iż kwietniowy numer „Gryfa” zaadresujemy Ziemi Bytowskiej.

